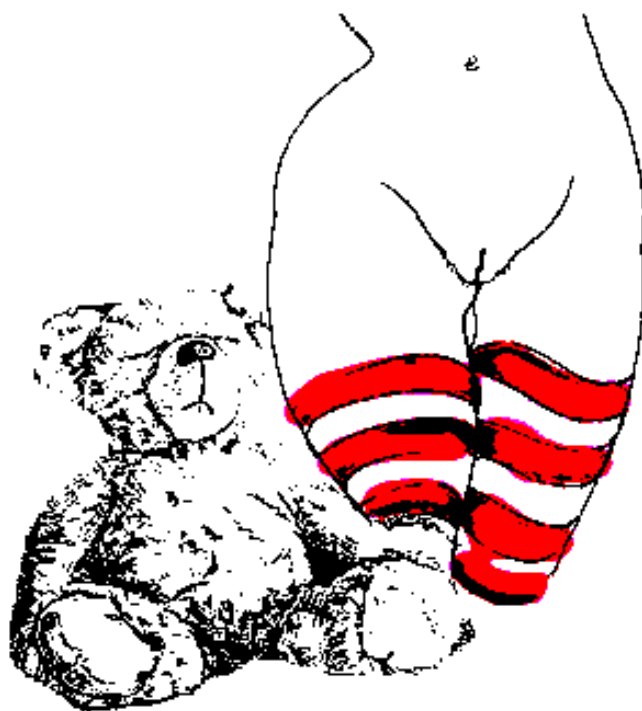


SŁAWOMIR MAJEWSKI
DANTE GONÇALVES



SORTIE → Tak więc 16 czerwca zmęczony ale szczęśliwy pasażer rejsowego z New Delhi, pisarz Vincent Choul wychodzi przed budynek portu lotniczego imienia Charlesa de Gaulle w Roissy. Pomyślny kres peregrynacji do owej perły umarłego imperium nad którym ongi (*God save the Queen!*) nigdy nie zachodziło słońce spowodował, że pan Choul beztrząsowo pogwizduje *la la lalala, lala lalala la lala...* tę słynną kołysankę Krzysztofa Komedy z *Rosemarys Baby* Romana Polańskiego. Warto odnotować, iż tego dnia niebo nad Paryżem jest cudownie błękitne, krystalicznie czyste, rozprężone słońcem i nic nie zwiastuje ochłodzenia lub deszczu. Pan Choul z pewnością dotrze do swojego mieszkania w kamienicy przy ulicy Rocher straszliwie umordowany po wyczerpującym, wielogodzinnym locie i czekającym go jeszcze dodatkowym, męczącym acz niezbędnym tarabanieniu się po dworcu de l'Est.

Wsiadł do taksówki

- Dokąd?

- Na dworzec de l'Est. Ale po drodze zahaczmy o atelier fotograficzne *Tour Martelli*. Pokażę gdzie.

Ruszyli i po drodze zahaczyli o atelier fotograficzne *Tour Martelli* w którym pisarz odbiera niezaadresowaną kopertę z rąk statecznego, pulchnego pana Mauligaine stojącego za kontuarem szerokim jak działobitnia. Koperta zawiera kluczyk do skrytki o numerze 1904 znajdującej się na dworcu de l'Est.

Wsiadł do taksówki

- A teraz na dworzec?

- Tak, teraz na dworzec.

Pan Choul będąc człowiekiem ze wszech miar odpowiedzialnym, na dworcu de l'Est nader uważnie lustruje ochronę i podróżnych. W porządku? Uznając z tą odrobiną wahania właściwą ludziom inteligentnym a przezornym że chyba wszystko w najlepszym, pan Choul kluczykiem z koperty otwiera skrytkę wyciągając z niej skórzany plecak. Sięgając do wnętrza wyjmuje wiśniowy portfel z doskonale garbowanej strusiej skóry z tłoczonym na złoto monogramem *EV* a z portfela francuski paszport. Wprawdzie dokument został opatrzony jego zdjęciem lecz wystawiono go na nazwisko niejakiego Eryka Vincent, pisarza i wydawcy zamieszkałego w Paryżu pod adresem Rocher 28/A, opodal ruchliwego skrzyżowania ulic Madrid i Portalis.

W licznych przegródkach portfela znajdują się opiewające na to samo nazwisko prawo jazdy, zapłacony w terminie mandat za przekroczenie prędkości, kwit z pralni upoważniający do odbioru trzech koszul (*Armani, Versace, Yves Saint-Laurent*) z mieszkanki najprzedniejszych włókien jedwabiu i kaszmiru, zestaw kart kredytowych, nieco drobnych monet i banknotów o niskich nominałach. Za plastikową wkładką tkwi kolorowa fotografia nagiej wysmukłej blondynki stojącej z rozwianym włosom na tle wiatraków. Owa niewątpliwie piękna i niezwykle eteryczna młoda dama choć na co dzień posługuje się dość pospolitym, powiedzmy roboczym imieniem Jeanne, w rzeczywistości nosi wdzięczne imię Marguerite, jak słynąca z nader niemoralnego życia Margot de Valois królowa Francji i Nawarry. W tym miejscu należy zaznaczyć iż gwiazdy lub, jak kto woli, metafizyczni demiurgowie posiadają niewątpliwą wpływ na cechy charakteru, rodzaj zainteresowań i profesji skrytych w imionach nadawanych dzieciom ludzkim, albowiem Marguerite-Jeanne mimo urody i wykształcenia a także arystokratycznego pochodzenia jest luksusową prostytutką i jednocześnie kimś na pokszałt nieślubnej, potajemnej żony pana Choul.

Pan Choul wyjmując z plecaka starannie złożony popielaty prochowiec, klucze do mieszkania przy ulicy Rocher 28/A i klucze do garsoniery Marguerite w eleganckiej kamienicy przy Saint-Denis 98 zdobnej w interesujący portal i kute w żelazie balkony. Pan Choul jest bardzo stęskniony za swoją Jeanne-Marguerite, dlatego wspomina jej białą sukienkę w delikatne amarantowe kwiatuszki, którą ongi zrzuciła dla niego tam, w Weesp w Holandii pod wiatrakami, co niejako w sposób naturalny wywołuje z jego pamięci strofki *Windmills Of Your Mind* Legrandy w owej niezapomnianej interpretacji José Feliciano i kolejny raz myśli z zadowoleniem że tak, wszystko w porządku. A skoro wszystko w porządku, wkłada do parcianej torby z którą podróżował od Delhi po Katmandu i z powrotem, australijski paszport ze swoim zdjęciem wystawiony na nazwisko pana Vincenta Choul, wydawcy i pisarza zamieszkałego 1502 Main South Road, Darlington, South Australia w takim płaskim piętrowym domu na wzgórzu z widokiem na wysoką samotną zakurzoną palmę, pizzerię Marcellina i szosę A-13. Dokument został perfekcyjnie opatrzony wizami wjazdowymi i wyjazdowymi odpowiednich urzędów Australii, Francji, Indii oraz Królestwa Nepalu rozłożonego (Marguerite...) 26° - 30° N, 80° - 88° E w Himalajach. Wrzuca do torby wykorzystany bilet na samolot Air India z Paryża do New Delhi i drugi, też wykorzystany, Royal Nepal Airlines na trasę Delhi-Katmandu i myśli *Nepal... (नेपाल)* Co za góry! Jej piersi... I włoski łonowe, myśli, jak nitki jedwabiu (odebrać koszule!) i wkłada do lewej wewnętrznej kieszeni prochowca portfel z francuskim paszportem opatrzonym zdjęciem pana Choul lecz wystawionym na nazwisko pisarza i wydawcy Eryka Vincent, zamieszkałego w Paryżu przy ulicy Rocher 28/A, a do drugiej wewnętrznej prawej kieszeni dwa komplety kluczy. Aparat fotograficzny Nikon z wmontowanym Minoxem EC, kasetki z mikrofilmami i przewodnik pod obiecującym tytułem *Tanio Po Krajach*

Azji wkłada do torby, torbę zamyka w skrytce, kluczyk pakuje na powrót do koperty, kopertę adresuje i wrzuca do żółtej skrzynki pocztowej opodal wyjścia. Uf, z głowy!

Teraz pisarz Eryk Vincent krzepko zarzuca skórzany plecak na ramię i zmęczony ale szczęśliwy pogwizdując *la la lalala, lala lalala, la lala...* wychodzi przed dworzec i wsiada do taksówki

- Dokąd?

- Ulica Rocher, obok piekarni pod trzydziestym pierwszym.

Pan Eryk Vincent zapłacił i wysiadł z taksówki na ulicy Rocher pod numerem 31 przed piekarnią pana Gillesa Raymonda Rochet, w której po chwili namysłu kupuje dwie chrupiące przyrumienione bagietki i kilka pięknie wypieczonych bułeczek posypanych makiem a w sklepie opodał, już bez namysłu wybiera ulubiony ser Bleu de Bresse oraz lubiane umiarkowanie acz jadane chętnie Pont l'Évêque i Roquefort a do tego pudełko wyśmienitej duńskiej margaryny.

Odszukuje na półkach i znajduje dwa przysmaki Marguerite *foie gras* z truflami i opakowanie oryginalnej greckiej Φέτα z koziego mleka. Wybiera jeszcze trzy pomidory o połyskliwej skórce, dwie cebule fioletowej barwy i wonny seler naciowy. W nieodległym sklepie z alkoholami, po głębszym zastanowieniu decyduje się na fińską wódkę Koskenkorva. Butelkę wkłada do torby z zakupami, płaci i rusza do wyjścia ale przy drzwiach klepie się w czoło *papierosy!* i stokrotnie przepraszając starożytną madame w futrzanym toczku z jazgotliwym *chihuahua* na rękach, prosi kasjerkę o dwie paczki papierosów *Camel* oraz karton Gauloises Blondes Rouges z białym skrzydlatym hełmem Merkurego na krwistym tle. No a że stąd ma już niedaleko więc po krótkim spacerku mija restauracyjkę Le Cappadoce w której od czasu do czasu spożywa orientalne dania i z radością popychając nie wiedzieć czemu szeroko uchylone drzwi, z ulicy rozpróżnionej słońcem wkracza w półmrok bramy czteropiętrowej kamienicy z portykiem i drzwiami zdobnymi w mosiężne antaby.

Wdychając z ulgą chłód dopiero co zmytej posadzki, powitał madame Hiver, sześćdziesięcioletnią konsjerżkę o statusie bezdzietnej wdowy szydełkującą jak zwykle w swoim kantorku, radosnym i nieprzerwanym

- NooodzieńdobrykochanapaniHiver!

I został przez madame Hiver powitany jej niemniej radosnym i nieprzerwanym

- AdzieńdobrykochanypanieEryku!

Oraz jej mile zdziwionym

- Nie podobało się na tej Sycylii? Już z powrotem?

Zareagował spontanicznym

- Już? Dopiero, kochana pani! Do-pie-ro!

I nieco szowinistycznym

- Jednak nie ma to jak Francja!

Co zostało przyjęte pełnym zrozumieniem

- Ja myślę!

I szowinistyczno-nacjonalistycznym

- Ci wszyscy niedogoleni mafiosi w beretach! Tak, nie ma to jak Francja.

Wymieniono uprzejmości, drobne informacje i podziękowania

- Ogromnie się cieszę że pan wrócił.

- I ja, kochana pani! A jak tam moje kwiatki?

- Kwiatki? O, kwiatki podlewałam, oczywiście że podlewałam! Rosną jak marzenie.

- Jest pani nieoceniona! Padam z nóg, pani Hiver, muszę się wykapać i solidnie wyspać. Do zobaczenia pani Hiver, do miłego!

- Do zobaczenia panie Eryku, do miłego. Niech pan się wyśpi. Koniecznie!

Żałując iż dom nie został wyposażony w windę, pan Eryk z głębokim westchnieniem rusza do schodów i już na pierwszym stopniu dopada go jakże znajomy, łojowy zapach duszonej baraniny, więc pełen mieszanych myśli myśli o *matko Boska znowu! U Rashida! No, to na pewno jestem w domu.*

Kiedy mija półpiętro słyszy głucho trzaśnięcie bramy, potem zbliżające się ciężkie kroki, sapanie i po niedługim czasie dogania go łysy gruby facet pod sześćdziesiątkę w granatowym kombinezonie i przepoconej koszuli, dźwigający na ramieniu sporą

dwuosobową kanapę. Aaa, to dlatego drzwi były niedomknięte! Na widok jego osłupienia pełnego podziwu, grubas astmatycznie wychrypiał

- Człowiek wszystko udźwignie, szanowny panie, jeśli wie gdzie chwycić...

- No tak, odwzajemnił zmęczony uśmiech. Archimedes, punkt podparcia. Archimedes powiedział: dajcie mi punkt podparcia a...

- Ano właśnie, proszę szanownego pana, ano właśnie: punkt podparcia! Otóż to. Najważniejsze, to uchwycić w odpowiednim punkcie! Otóż to.

Ustępując miejsca Eryk rozpląszcza się w odpowiednim punkcie na ścianie i *Jezu, ile toto waży?* myśli i stąpa powolnie za Atlasem trzymającym mebel w odpowiednim punkcie. Zastanawia się nad tym co mu powiedział, to o Archimedesie, to że dajcie mi punkt podparcia a. Zdaje się że chodziło o dźwignię. Tak, dajcie mi punkt podparcia a poruszę Ziemię. Tak, zdaje się że.

Czuąc ostrą woń potu stąpającego przed nim grubasa co jakiś czas wstrzymuje oddech. Ależ jedzie, czy oni się nigdy nie myją? Co on wymyślił? Przenośnik ślimakowy. I? I śrubę do nawadniania pól. I? I udoskonalił wielokrążek. I co jeszcze? Podobno spalił rzymskie okręty wojenne światłem słonecznym skupionym na miedzianych lustrach. A może na srebrnych tarczach? Aaa jasne, najważniejsze to to jego słynne prawo Archimedes'a. Jak to szło? Że ciało wyparte traci? Nie, nie. Nie że ciało, tylko że woda wyparta... A może ciało wyparte przez wodę? Wykapać się, Jezu! Woda, morze... Grecja... θάλασσα, νερό... O, Grecja... Wanna, ciurkanie wody, chłodny, wilgotny zielony marmur. Zielony? Kochali czerwień, purpurę i złoto więc... No dobrze, zielono żyłkowy czerwonozłoty marmur, wanna a w niej tyle zimnej wody ile ciała wypartego przez zimną wodę, co w konsekwencji daje... Masa? Masa a nie waga? Waga? Waga a nie objętość? Przetyka lepką ślinę. Podobno wykombinował to dla króla Syrakuz Hierona żeby sprawdzić czy królewska korona była ze szczerzego złota, bo jak się jakieś ciało, dajmy na to złoto zanurzy w zimnej wodzie no to pozornie tyle straci ile wody wyprze czy coś w tym rodzaju. Boże ale mam mętlik we łbie! Wykapać się i wypaść! Tak. Wykapać się i wypaść. θάλασσα!

Przystanął, bo grubas zatrzymał się kilka stopni przed nim. Oczekali w milczeniu a po chwili grubas chrząknął, stęknął i ruszył sapiąc jak miech Eola a wtedy i Eryk ruszył myśląc mogłem szybciej wbiec przed nim i że Archimedes biegał goły po Atenach krzycząc *Εύρηκα! Εύρηκα!* powiewając śmiesznym malutkim greckim kutasikiem, zupełnie jak u tego hoplity z brązu w muzeum o, albo u Apolla Belwederskiego Léocharèsa. A dziewczyny w śmiech: ty widziałaś? Zobacz jaki mały orzeszek! Orzeszek robił się duży wtedy, kiedy rozkładały uda. Nie, Grecy bardzo chętnie robili to z chłopcami. Paiderastia. Zdaje się, że tak to brzmi po grecku. Dyskretnie podrapał się w jądra. Tak, paiderastia. O, taki Platon w swojej *Uczcie* na przykład. A na przykład w trzysta czterdziestym którymś przed naszą Ajschines oskarżył Timarchosa o to, że jest męską kurwą i że za forszę daje każdemu dupy no ale wtedy szło o politykę. Polityka. O, to jest dopiero kurwa! Tak, paiderastia... Platon, Sokrates. Sokrates i Alcybiades jak na tym rysunku Avrila na którym napalony filozof dobiera się do tyłka śpiącego ucznia no, w każdym bądź razie nikt wtedy nie wiedział nic zdrożnego w tym że facet z facetem bo taka była ich kultura i obyczaje. Geje. No nie żeby wszyscy ale. Grekogeje. Grekogeje? Greko-geje, mówi półgłosem smakując brzmienie i uśmiecha się smakowicie. No a na przykład tacy Spartanie w Sparcie? Ukonstytuowany homoseksualizm czyli coś jakby pedały z urzędu nie? No. A ich kobiety? Miały tyle praw co samobieżne macice i z nakazu prawa musiały się pieprzyć między sobą żeby ich mężowie mogli bez przeszkód pieprzyć się między sobą. Daj spokój, lesbijki z nakazu prawa? Rajcowało je to, to pewne. O, na przykład taka Safona

O, to dla ciebie, kochana!

Jasne, a w nagrodę mój język w twoim futerku, kochana... No ale ten jej wiersz do Anaktorii

*Każdy tę prawdę zrozumie.
Helena także,
Choć równej w urodzie sobie nie miała...*

przetrwał wieki. Tak, Safona... Wielka jak Homer. Grekogeje... Widzi zakutych w brąz Danaów i timeo Danaos et dona ferentes myśli i myśli że to musiał być widok pod Termopilami: trzystu wyprężonych gejų i sześćset ich włóczni sterczących naprzeciw tysiącom Persów, podobno też chutliwych gejų.

- Spartanie... Bohaterscy jak nikt nigdy. Może jeszcze Polacy. Pod Wizną. Ilu? Zdaje się że siedmuset przeciw czterdziestuparutysiącom Boszów. Nieźle. A Spartanie? Trzystu przeciw trzystu tysiącom... To będzie na jednego po...? Po tysiąc? No, po tysiąc, też nieźle. Co ty gadasz: nieźle? Wyobrażasz ty sobie jak tysiąc bandziorów zionących żądzą mordu wali na ciebie z nożami, włóczniami, mieczami, procami i całym tym śmiercionośnym złomem, gotowych wyrwać ci jaja, poderznąć gardło i wypruć śledzionę a ty sam jeden przeciw nim wszystkim tylko z tarczą, włócznią, mieczem i kutasem w garści? Kochaaaaany, nie dałbyś rady nawet trzem takim koleśiom. Trzem? Pieprzenie, nawet dwóm byś nie dał a co dopiero...

Stracił oddech na chwilkę.

- Kręci mi się w głowie, psiakrew. Dwóm? Nawet jednemu bym nie dał. Tysiąc na jednego? O, matko!

Złapał oddech po chwili.

- *Przechodniu, idź i powiedz Sparcie, żeśmy tu polegli posłuszni jej prawom.* Leonidas. Leonidas mówił to po śmierci? Pewnie Zeusowi, ech ta historiografia! Matki żegnały ich synkowie, *nie wracajcie bez tarczy! Niech was przyniosą na niej ale nie wracajcie bez niej.* Więc nigdy bez niej, bo jakieś zasady muszą być, inaczej... Pod Maratonem Persowie też nieźle wzięli od Grekogejų w tyłek. Fajny lapsusik *wzięli w tyłek.* Widzę jak biorą. Zaraz, zaraz... a gdzie ja to czytałem że pod Maratonem Persowie przegrali bo mieli kruche kości, bo na co dzień zakrywali głowy turbanami a Grecy nie zakrywali? No tak, kruche kości z braku witaminy. Której? A? De? E? De! De-trzy. No i pod Maratonem greccy geje perskim gejom łamali kości jak zapalki a swoją drogą, zawzięci byli ci Grecy. I zazdrośni jak cholera, bo przecież każdy kochankiem każdego więc to oczywiste że jeden za wszystkich, wszyscy za. Jak u Dumasa Père. A właściwie dlaczego trzej a nie czterej? Przecież czwarty był Dartagnan? Miłość ich scalała jak obręcz scala klepki w beczce. Archimedes mieszkał w beczce. Jak śledź. To on powiedział *noli turbare circulos meos*? On. Nim zginął od ciosu żołdaka. W śledzionę. Śledziennik. Muszę to sprzedać dalej

- Mieszka w beczce?

-...?

- Śledziennik!

Nie ruszaj moich kół? Jak to szło po ichniemu... Μη μου...? A dalej? Mmm... Μη μου τους... I? O! Μη μου τους κυκλους ταπατε! Jedni mówią że moich kół, inni że powiedział moich figur ale kto tam teraz dojdzie prawdy, moich kół czy moich figur? Wyszła mu cholernie zgrabna figura. Retoryczna i wiekopomna. Saecula saeculorum...

GLORIA!

Wchodząc na kolejne półpiętro widzi dziewczynkę z rudymi warkoczami wdzięcznie spływającymi w połyskliwych pierścionkach spod kapelusika. Siedząc na parapecie witrażowego okna tuli pluszowego misia i kiwa szczupłymi nogami w pasiastych getrach wystającymi spod zdecydowanie przykrótkiej koronkowej spódniczki. Patrząc na niego, bezwiednie zakłada prawą dłońią lewą stopę na prawe udo tam, gdzie między falbankami lśnią jej gołe pachwiny.

Zatrzymał się dwa stopnie przed nią myśląc *no pięknie!* ale na widok jej złoto-rudych włosów nad morskozielonymi oczyma pomyślał też że to śliczne dziecko, taki Botticellowski aniołeczek. Zapytał życzliwie

- Wprowadzasz się? A Botticellowski aniołeczek mrużąc kocie oczy nachalnie wpatruje się w niego i mówi do niego z miną jakby się chciał w niego wśliznąć

- Tak, proszę pana, podrzuca głową, tam proszę pana, pod szesnastkę. Z tatusiem. I uśmiecha się do niego po dziewczęcemu, zalotnie aż poczuł że poczuł dreszcz. Zalotnie? Jakie tam kurwa „zalotnie”? Wyzywająco! Prowokująco! Prowokująco i bezwstydnie. Zachęcające kurewstwo w każdej z tych jej dziecinnych źrenic. Niektóre muszą się tego uczyć od puszczałskich koleżanek czy ciotek albo wyuzdanej matki a inne się z tym rodzą. Ta na pewno się z tym urodziła, z tym nie do pomylenia z czymkolwiek innym kurwim błyskiem w oczach migającym jak neon *Ooooooch, wsadź mi!* I wtedy skojarzył *Dante!* I coś w nim zaśpiewało



I zrozumiał że ta mała jest zupełnie jak... Jest zupełnie jak? O słodki Jezu! Ona jest zupełnie... No jak to szło? No jak toto szło? Zaraz zaraz... Mam! *Światło mego życia, ogień moich łez, mój grzech. Dusza moja. Lo-li-ta!* Nabokov!

- To miło, mówi chrząkając ze zdenerwowania. Pozdrów tatusia mówi a przez cały czas ta stara świnka zerka dyskretnie lecz zachłannie pod spódniczkę tam, pomiędzy szczupłe, hojnie rozchylone uda w niepłonnej nadziei że zobaczy jej. Więc z nadzieją, że zobaczy jej pyta ochryple

- Jak ci na imię kochanie?

- Mnie, proszę pana? Claire, proszę pana odpowiada kochanie gorliwie, gorliwie rozchylając uda i przytulając policzek do misia a pod spódniczką patrz! Jakże gorliwie lśnią dla tylko niego! Dla ciebie! jej dwie rybko białe pachwiny: *Chcesz? Patrz! Ogień twoich łez, twój grzech. Ooooooch, wsadź mi!*

- Bardzo mi miło Claire, do widzenia. A nie zapomnij pozdrowić tatusia, pamiętaj!

- Ojej proszę pana, na pewno pozdrowię. Nie zapomnę proszę pana, nie jestem taka! Do szybkiego zobaczenia.

Nie zobaczył! Rusza, ze zmęczenia i wysiłku marszcząc czoło. *Nie jestem taka.* Jesteś jesteś, kochanie, już ty dobrze wiesz. Wzdycha. Zawahał się na moment zaraz zaraz, chwilczkę a w tej beczce mieszkał Archimedes czy Diomedes? Dobryboże, jaki znowu Diomedes? Diogenes! Przecież Diomedes był królem Tracji, ten od koni-ludojadów a ten od beczki to nie Archimedes tylko Diogenes, wszystko pomieszałem! To Diogenes powiedział do wielkiego Aleksandra żeby się odsunął bo zasłania mu słońce? Tak, on. A co ja o nim? Że urodził się w? To było co...? Milet? Nie, nie Milet. Argos? Efez? Mam, Synope! Synope, gdzie jego ukochany tata był bankierem. Ci Grecy... wichrami chciwości posuwali żagle swoich moner, trier i pentakoner, Argonauci. Argonauci, jazonauci, złotonauci... Farbowali sobie włosy i brody, perfumowali ciała i malowali twarze. Henna, ochra, malachit, galena, hematyt, lapis-lazuli. I jeszcze mirra, damara, wosk, miody i mastyks. Mastyks żuli jak my gumę do żucia. I purpura. Πορφύρα. Z tych tam, rozkoleców. I szkarłatników. Πορφύρα Τύρος... Rak, zdecydowanie z grecka brzmi lepiej, barwniej. Co jeszcze? No... kardamon, cynamon... o, anyżek, mirt... i bergamotka. Rozsiewali zapach paczuli i tymianku a pod osłoną nocy w migotliwym pełzaniu oliwnych lampek tłustymi jak serdelki palcami rozsypywali skórzane mieszki wachając i licząc zarobione talenty, miny, sykle, statery, drachmy. I śmiercionośne obole. Fajnie brzmi, zapamiętam. Widzi to, żałuje że nie ma kartki ale widzi to. Zapiszę. O ile nie zapomnę. Gładzili wonne brody trefione w misterne pierścioneczki, loczki i świderki, licząc zachłannie i pieszcząc chciwym wzrokiem drogie kamienie, sztabki elektronu, srebra i złota z całego obszaru Mediterraneo gdzie hoplita ich odcisnął ślad sandała. Pożerali kozie sery spod Olimpu, z Idy na Krecie czy z zielonych stoków Thery, pogryzali zielone i czarne oliwki, słodkie daktyle i suszone lepkie figi zębami od lepkich miąższów żółtymi jak bursztyn. A bryłki jantaru, oczywiście po cenie złota dostarczały im karawany skośnookich kupców z krainy Katai. Ma się rozumieć, razem z belami drogocennego jedwabiu, porcelaną, wachlarzami z piór Feniksa, kłem Elefanta i spiralnym rogiem jednorożca. Ciągnęli do Hellady od bezwodnych piasków Takla-Makan, od niebotycznych górskich lasów gdzie pośród mgły panda ogryza pęd bambusa. Kroczyli powolnie acz nieubłagane z niezmierzonego cesarstwa Zhongguó, świata ich pępków. Ciągnęli nieśpiesznie lecz pewnie przez Persję, ziemie Massagetów, Tartarię i stepy pra-Ukrainy albo pusztą, graniami Karpatów kędy Hunowie grasowali i dalej, puszciami praczech i prapolski aż do brzegów siwopopielatego Βαλτική Θάλασσα tam, na dzikiej Północy morderczych Gotów i leniwych, wiecznie zapijaczonych Słowian. Taa... Zmyślni byli ci Chińczycy myśli, wymyślili papier, druk porcelanę i? I parasolki. Akupunkturę i latawcę i...? No jasne, proch! I prochem zostali pobici przez Tatarów czy Mongołów a ten ich cały Wielki Mur to nic, tylko o wielki kant dupy rozbić bo przecież nigdy nie zatrzymał żadnego najeźdźcy. Sztuka dla sztuki? Może, kto wie? Równi chciwością perskim i helleńskim sodomitom, docierali Jedwabnym Szlakiem na łagodnych baktrianach, dromaderach toczących pianę i żółtych konikach do cynowosrebrnych Brytów, gaelicko-dębowych Celtów i dalej, w głąb mrocznych lasów Germanii aż nad siwe skandynawskie fiordy dwurogich Wikingów. Cyna, jantar, niewolnicy

- Bierzecie jak leci, Żółtki?

Brali jak leciało a od nich brali Grecy. Tak... A doskonałe greckie wina z Chios i Cypru? A doskonałe greckie wina z Chios i Cypru Grecy sami sobie zwozili na pentakonerach z wielkim białym okiem na burtach. Wielkie oko... Wielki Brat śledzi cię. Orwell. Stalin? Stalin, Hitler, dwa bratanki. Podobno mieli doskonałe wina. Podobno, bo niby skąd wiadomo? A niewolnicy? A niewolnicy z Egiptu, Nubii i reszty Terra Leonem a nawet z Erynu i Brytanii. No a potem te targowiska nagich poniżanych

ciał. Ateny, Mykeny, Sparta, Megara, Korynt, Efez... Tych do kamieniołomów, tych do kopalni złota, srebra i zabójczych pokładów ołowiu i rtęci w Tesalii. A tamtych? Tamtych? A tamtych do katorżniczej pracy na galerach. Smagani batami. Ale kobiet nie bili żeby nie uszkodzić cennej skóry. O runowłose dziewczyny, strzeliste jak cedry Libanu... Jedne do kuchni i pralni, inne do burdeli. A najlepsze kąski? Najlepsze, najpiękniejsze wyłącznie dla własnej przyjemności. Cycki i uda i te wzgórki łonowe wystawione na widok publiczny: *Patrz! Chcesz? Patrz! Ogień twoich łędźwi, twój grzech. Oooooch, wsadź mi!* A między fałbankami lśnią gołe pachwiny że nic, tylko patrz i podziwiał! Do szybkiego zobaczenia. A do szybkiego! O, z taką niewolnicą mógłbym robić co tylko bym chciał. Z jedną? Zaraz z jedną! Dlaczego z jedną? Z dwiema. Albo i z trzema. Dziewczyny, zrobimy to tak i tak. Albo zróbcie to ze sobą. O tak, zróbcie to ze sobą. Spartanki... Nie zapomnę, proszę pana. Ani ja. Język w futerku. Tak, niewolnictwo... Ciemna strona Hellady. Ciemna? Sam jesteś ciemny ciemniaku, wspaniała! Te wzgórki łonowe, ech... Śnieżnobiałe Ateny. Sokrates, Perykles i Fidiasz. Cykuta. I Plato. Ateny...

*Maid of Athens, ere we part,
Give, oh, give back my heart!
Or, since that has left my breast,
Keep it now, and take the rest!
Hear my vow before I go,
Zoë mou sas agapo!*

Zoë mou sas agapo... Moje życie, kocham cię. Lord-biseks Byron dla poznanej w Atenach dwunastoletniej panienki Tereski z domu Makri. Czy recytując jej poema, pokazywał Akropol a przy okazji swojego nabrzmiałego giaura? A ona co, robiła kółko z usteczek *Ojej, proszę pana?* Dotykała go *Ojej, a co to takie duże?* i na tle Pergamonu pozwalała jego lordowskiej mości żeby miętosił jej cycuszki, twarde jak młode jabłuszka? A może nie kryjąc się przed wzrokiem romantycznego pedofila patrzącego zza ułamka sterczącej kolumny, jak najwyżej podkasywała sukienkę pensjonarki gdy robiąc pipi szcząła jak krowa na miedzy ukazując swoją ciasną nieowłosioną *very likely, sir...* Drachmę za prawdę! A propos pipi to muszę się odlać. Musiało strasznie śmierdzieć w tych Atenach w czasach Sokratesa, no ale to jasne, przecież nie mieli kibli i żadnej tam kanalizacji. Rynsztoki. Podobno Archimedes też śmierdział. Szczyny i gówna wylewali z dzbanów przez okna wprost na łby perypatetyzujących filozofów, więc można się było nieelicho pośliznąć na niejednej doktrynie. Wyobrażam sobie ten smród. Całkiem niezła perfuma dla gaju, gdzie Platon o sześć stadiów od Aten usadowił Akademos by pod Olimp wzbijał się odór wiedzy in odore sanctitatis. *Jak tam trafić, dobry panie? Idąc na północny wschód aż za teren Polis, dojdiesz do położonego nad rzeką Kefisos pięknego, platanowego gaju poświęconego Akademosowi, mój synu.* He he, in odore sanctitatis. Ciężko sapie.

- Kurwa! Jeszcze chwila a dostanę zawału!

Zapytał siebie

- Kiedy to było?

I odpowiedział sobie

- Chyba w dwieście siedemdziesiątym którymś to było, zdaje się. W tym samym zdaje się, w którym pod Bitola Celtowie czy Dardanowie zaciukali syna Eurydyki, Ptolemeusza Keraunosa o błyskawicznym przydomku Piorun. A miało być zwycięstwo... Zależy jakie. Pyrrus... Jak im pod tym Auskulum powiedział? *Chłopaki! Jeszcze jedno takie zwycięstwo a będziemy mieli przesrane...*

Cieszy się, że jeszcze jedno takie piętro a będzie u siebie. Zdaje się że poślubił Antygone. Nie tę Sofoklesa, tę pasierbicę Ptolemeusza Sotera, którego dzieci od

dzieciństwa miały przechłapane u bogów. Tak, ją poślubił. Oj nie wyszło mu na dobre to małżeństwo, oj nie, bo te stare dupy Μοῖραι zamieszały mu we łbie tak samo, jak Makbetowi. Casus Lizandry. W Argos rzucił przeciw Macedończykom pieszce zastępy walecznych najeżone włócznią, mieczem i testosteronem i pchnął czarnogrywą konnicę drwiąco rżącą ze śmierci a padł, kiedy dostał w łeb ordynarną grubopaloną dachówką. Co za absurd! No ale przedtem dla porządku wkłuto mu w bok czubek sarisy, bo jak mawiają Eskimosi *sicher ist sicher*. Jeszcze pół piętka. Tak, Pyrrus-bohatyr, zawsze w pierwszym szeregu, złoty hełm z purpurową kitą, złoty pancerz, także nagolenniki i obowiązkowo spiżowy jajowór. Wyczuwał rzeź skurczoną moszną? Może. W każdym razie łbem i trzonem szyi zapłacił za brawurę i śmiertelnością pomyłkę swoich generałów. No ale wygrał chwalebną i wiekopomną śmierć herosa. Straszny kutas. Powiadają, że go dobił i zdekapitował wolny najmita, niejaki Zapyros.

Znowu przystanął.

- No zaraz, powiada, no zaraz zaraz zaraz, jak to Archimedes śmierział? No jak śmierział, skoro podobno to swoje prawo Archimedes odkrył w łaźni zanurzony w cieczy po szyję archimadrego ciała które tyle traciło ile ważyła woda, więc jak? Ciekawe, cholernie ciekawe... Historia... Więcej w niej plotek z magla niż historii.

Ruszył zrezygnowany.

- I ciekawe że do historii przechodzą ich ostatnie słowa. Słowa ale nieraz i nędzne czyny. Choćby ten Herostratos. Spalić taki Artemizjon żeby na wieki żyć w pamięci? Zakompleksiony palant. I nakazali wymazać jego imię aby o nim nikt nigdy. Jak imię Hatszepsut, Echnatona i tylu innych przed nim. I tylu innych po nim. No i patrz, gdyby nie Strabon, to nie zostałoby po nim nawet wspomnienie, ale gnojek dopiął swego a tymczasem cuda Fidiasza, Polikleta i Kresilasa gdzie? Adieu Fruziu, poooszły z dymem! I pomyśleć tylko, taki durny szewc. E, nie taki znowu durny. No, jestem!

Stanął przed drzwiami swego pałacu, gdzie między kolumnami z marmurów lśnią dla niego nagie pachwiny niewolnic jego, jako to Tamary, Kybele, Salome, Thaïs i tej najmłodszej, rudowłosozielonookiej o zamorskim imieniu *Ojej, proszę pana!* Rozpamiętując myślane i widziane lecz nie do końca zobaczone, zaczął wycierać buty długo, nader starannie i nader dokładnie a szukając po kieszeniach kluczy, mocno szorował podeszwami o szalową wycieraczkę, zupełnie jak w dzieciństwie gdy jego matka Mirelle karciła go tym okropnym, skrzeczącym głosem żałobnicy palmowej do której była podobna jak dwie krople wody

- O nie mój panie! Nie wejdiesz do domu, zanim ostatni atom brudu nie zniknie z podeszew twoich butów.

Eheu! Mirelle, jego matka... Ten chodzący woreczek z żółcią wszystkich porzuconych kobiet świata. Bezustannie ścierała kurze z szafek, szafeczek i półek, godzinami zgrzytała po parkietach bakelitową ssawką odkurzacza w kolorze jasnego popiołu, wlokąc go za sobą na poskręcanym sznurze jak opornego, skowyczącego basseta a potem wszystkie podłogi myła, pastowała i froterowała granatową czeską froterką aż klepki lśniły sterylnym blaskiem i można było z nich jeść. Bez względu na pogodę i samopoczucie każdego ranka maszerowała do kościoła gdzie równiutko przez kwadrans modliła się zawsze o to samo, o zbawienie duszy swojej i syna swego i duszy tego szatana Andre, byłego męża który porzucił ją i małego, słodkiego jak lizaczek Eryczka dla Sylvie, nędznej aktoreczki z varietes na przedmieściu, tej krzywonożej dziwki, tej ścierki, tej suki, tej...

- Och, Andre bądźcie przekłęci oboje! Boże, odpuść!

W drodze powrotnej robiła zakupy na okolicznych straganach, jak ormiańska handlara wyklócając się o cenę mięsa, jakoś warzyw i owoców a zaraz po śniadaniu wyprawiała go do szkoły przypinając do mundurka biały kołnierzyk nakrochmalony jak stalowa blacha. I codziennie pakowała mu do tekturowego zielono lakierowanego tornistra dwie

kanapki z wędliną na świeżych listkach sałaty i dwa lśniące jabłuszka po centymie za dwa, z męczącym a nierozłącznym zapytaniem

- Czyli co, mój panie? Same co...?
- Wi-ta-mi-ny!
- Brawo!

Każdego ranka napominała go surowo, żeby ostrożnie przechodził przez jezdnię, żeby nie rozmawiał z obcymi, żeby mył ręce po każdej lekcji, żeby mył ręce po sikaniu a po kupie bez-względ-nie! Żeby nie zadawał się z uczniami-Żydami, Murzynami i Arabami, żeby szerokim łukiem omijał tę na pewno zawszoną małą kotlarza, Cyganek Anouk. ale żeby zawsze, ale to zawsze był bardzo uprzejmy i nadzwyczaj grzeczny dla wszystkich dziewczynek z takich samych porządných domów jak nasz, bo przecież i one kiedyś będą tak troskliwymi matkami jak twoja mamusia, więc sam rozumiesz. W czym tkwi klucz do pozycji w społeczeństwie? W takcie i uprzejmości wobec odpowiednich osób, rozumiesz? Uprzejmość mój panie, to klucz do wszystkiego.

Klucze? Pomacał kieszeń. Nie, w tej nie... A w prawej? No gdzieżesz ja je...? Aha, a po kolacji, kiedy już zjedli, zebrali wszystko ze stołu, pozmywali, wytarli i poustawiali na odpowiednich miejscach i półkach i w odpowiednich przegródkach odpowiednich szafek, wzywała go do wanny i tą drogą myjką, tą z prawdziwej greckiej gąbki bezlitośnie szorowała jego blade kościste cherlawe ciało wcześniaka. Najpierw za uszami, potem szyję, później

- Eryku, podnieś rękę!

Pod prawą pachą, później

- Podnieś drugą, Eryku!

Pod lewą pachą, potem

- Przodem do mnie!

Ptasią klatkę piersiową. A teraz plecy

- Schyl się!

I za każdym razem znalazła dobry powód żeby mu przylać w mokry tyłek

PLASK!

- Nie wierć się!

Jej głos robił się agresywny

- Niżej głowa!

Drżący

- Rozstaw nogi!

I chropawy, jakby jej brakło śliny

- Ostatni raz mówię: rozstaw szerzej nogi!

Aż łukowato wypięty dotykał głową brzegu wanny a wtedy odkładała gąbkę i myjąc samą dłonią jego kościste pośladki wciskała mu w odbył doskonale namydłony wskazujący palec perorując przy tym

- Nie zaciskaj! Żeby uniknąć Bóg wie jakich chorób, trzeba być czystym nawet w środku mój panie! Już ja się na tym....

PLASK!

- Znam! Wyprostuj się

PLASK!

- I odwróć!

A potem, już bez tej drogiej greckiej gąbki z prawdziwej gąbki pieczołowicie pucowała jego przerażonego penisa ściągając i naciągając oporny napletek.

- Nie można dopuścić do stulejki, mój panie!

Ooo, jakież katusze wstydu przeżywał na widok swojej żalostnej erekcji ściśniętej w jej namydłonej dłoni! Nogi drżały mu jak w febrze i czerwieniał na twarzy ale nie chciał mieć tej straszliwej choroby o potwornym imieniu *stulejka*, więc dziękował nieznanemu sobie a potężnemu Panu Bogu za to, że kończyła zabijać tę stulejkę dokładnie wtedy,

gdy dostawał ciepłych, przeszywających kręgosłup drgawek po których z rytualnymi słowami

- No, nareszcie jesteś czysty jak Dzieciątko Jezus! wyciągała go z wanny, żeby opatulonego w ręcznik zanieść do łóżka w którym pudrowała mu krocze z rutyną zawodowej opiekunki ludzi niedołężnych, którą była od Bóg wie ilu lat. Na koniec odziewała go w świeżutką koszulę nocną, pakowała pod kołdrę i gasiła światło, niezmiennie dodając

- I pamiętaj, żeby zawsze trzymać ręce na kołdrze! Tylko brzydcy chłopcy o nieczystych, brudnych sercach trzymają rączki pod kołdrą, rozumiesz Eryku? A ty jesteś grzecznym chłopczykiem mamusi, Eryku?

- Jestem grzecznym chłopczykiem mamusi, mamusiu.

- No to dobranoc Eryku i leż cichutko jak myszka!

Ponieważ był grzecznym chłopczykiem mamusi mamusiu więc leżał cichutko jak myszka. Aha, czasami gasiła światło i wcale nie szła do swojego łóżka, tylko w kuchni wypijała pół butelki wina albo wielki pękaty kielich koniaku a potem kładła się obok niego i śpiwając mu kołysanki czekała żeby zasnął a on udawał równym głębokim oddechem

- Już zasnąłem mamusiu, już śpię

Wtedy ona udawała

- Ooo mój króliczek już śpi!

No, mniejsza. Tak, doprawdy, to był absolutnie nieprzykry sen a nawet był to sen z tych snów, których się potem już zawsze pragnie, więc zaczął go pragnąć i już zawsze o nim śnił nim zasnął. A może śnił o nim kiedy już spał? Trudno powiedzieć... No oczywiście, takich snów nie powinny mieć dzieci o sumieniach czystych jak Dzieciątko Jezus ale on nigdy nie był tak czysty i tak niewinny jak Jezusek. Nie był od tamtej nabrzmiałej nocy, kiedy jej słodką zamgloną wizję wytrysnął jałowym śluzem gdy pierwszy raz czynił to sam ze sobą pod kołderką z podkasaną koszulką, wywołując z pamięci rozstaw jej żreń, kości policzkowych i podbródka a potem kształt jej piersi, bioder, wzrost i miodowy zapach koniaku. Tak... Te wszystkie smaki i zapachy jej perfum, staników, pończoch i majtek w tamtej szufladzie starej brzuchatej szafy, które miętosiłem i wahałem dotykając policzkiem i ustami, zakładałem na siebie prezentując się sam sobie w lustrze starej szafy i spuszczałem się dokładnie tam gdzie był klin który ocierał się o jej jasnowłose kroki, kiedy już mogłem się spuszczać, o matko! Matki. Matkożony, matkokochanki... Idea fixe poszukiwana jak perpetuum mobile. Nazywają to wprasowaniem, z angielskiego imprinting. Po nich już żadna nie będzie tą Graale dorosłości. Zaprawdę, powiadam ci, moja matkokobieta, kobietomątka moja, to była Hawwah, hostia wiekuista...

W tej? No gdzieżesz ja je posiałem? Dobryboże, chyba nie wypadły mi w taksówce? No, to by dopiero było! No dopiero by było, to zamieszanie, czekanie na ślusarza, borowanie, montowanie....

A sprawdziłeś w prawej?

Sprawdziłem.

Sprawdź jeszcze raz!

Sprawdza jeszcze raz.

- Ojezu, są razem! Te od jej i od mojego!

Z nieklamana ulgą wyjmuję pęczek kluczy. Odnalazł właściwe, wtykając i przekręcając otwiera po kolei każdy z trzech zamków. Tak, jako hostia wiekuista... O tak, naprawdę nienawidził tego jej skrzeczącego *mój panie!* a mimo tego, gdziekolwiek wchodził będąc człowiekiem dorosłym, wycierał starannie i nader dokładnie podeszwy butów, nawet wtedy gdy lato było dramatycznie suche grożąc motyloom *auto da fê*. I zawsze wahał się zanim nacisnął jakąkolwiek klamkę i pchnął jakiekolwiek drzwi ot, jak choćby teraz do własnego mieszkania. Wahał się, ponieważ kiedyś niefrasobliwie nacisnął klamkę, pchnął drzwi i postąpił krok do przodu i zawisł na klamce a kilkadziesiąt metrów pod jego podeszwami niestarannie wytartymi i nie lśniąco jak lustra kłębiły się potworne, spienione ołowiane fale jakiegoś morza czy oceanu z którego wychynęły oślizgłe macki gigantycznej kałamarnicy pragnącej pochwycić go i zeżreć i nikt nie słyszał jego rozpaczliwego wołania

- Na pomoc! Ratunku!

aż zbudził się w kałuży gorącego moczu obłany lodowatym potem i już nie mógł zasnąć. Oczywiście, był to tylko często powtarzający się sen jakich nie powinni mieć ludzie o czystych sumieniach ale on nigdy nie miał sumienia zupełnie czystego, bo nawet kiedy dorósł i nosił krawat, kiedy miał konto w banku i sypiał z kobietami a kilka razy z mężczyznami i kupił sobie elegancki sportowy samochód, nawet wtedy wielokrotnie śnił inny, równie dziwny sen zaplątany w mroki starożytnych labiryntów. Podchodzi do blanków niebotycznej wieży i jak żeglarz przykładając do czoła dłoń wypatruje, dostrzega, podąża do pałacu pełnego labiryntów, szuka, błądzi i znajduje łożo na którym leży pijana matka jego, sowiooka Jokasta w podwiniętej nad brzuch purpurowej tunice. Jej lico skrywa maska tragiczna na którą opadają grube sploty złotych włosów a na przegubach jej dłoni dźwięczą radośnie bransolety

Dzyń, Dzyń, Dzyń!
Hollo-jorli-jiiii!

Kładzie się na nią z kutasikiem małym jak u tego hoplity z brązu ale sztywnym, a potem śni że zrodziła kudłatego potwora z rogatą głową, straszliwego Erykoedypa który palcem wskazując go dzieciom z klasy, myczy lubieżnie i oskarżycielsko

- Minotaur! Potwór! Matkojebca!

Żeby uciec przed ukamienowaniem przez śnionych rówieśników, woskiem przyklejał ptasie pióra do chudych ramion, stawał na brzegu wieży i rzucał się do lotu a lecąc widział jak topnieje wosk i pióro za piórem odpada. Sen nieodmiennie kończył się gwałtownym skrzeczeniem

- Wstawaj, spóźnisz się do szkoły!

Czy była oschła i twarda? A Boże uchowaj, nie, była słaba! Słaba i bardzo czuła. I dlatego oschła i twarda dla nich obojga. Tak. I dopóki żyła, nie dopuściłaby żebym się kiedykolwiek i gdziekolwiek spuścił. Ojezu, spóźnił! I zawsze pamiętała żebym starannie czyścił obuwie zanim. Dlatego do dzisiaj starannie czyści podeszwy zanim naciśnie jakąkolwiek klamkę i pchnie jakiekolwiek drzwi. Myśli że to zdumiewające że do historii przechodzą ich ostatnie słowa. Na przykład konający Goethe z tym swoim *Mehr Licht!* No i co genialnego chciał przez to powiedzieć, że mu się ciemno zrobiło w oczach? Przecież umierał. Trochę głupio jak na racjonalnego Niemca, nie? No ale przecież był poetą. Jasne, poetą. Ale i bezlitosnym sędzią. Ten proces dzieciobójczyni zgwałconej przez szynkarza. Romantyczny poetosędzia kazał ją powiesić mając w dupie łańcuch przyczynowo-skutkowy. Cierpienia Wertera, myślałby kto. A cierpienia tej dziewczyny, ty stary durniu? Albo Galileusz *eppur Si muove* na wspomnienie płomieni wesoło opalających Girodanowe ciżmy. Gówno prawda, tego wcale nie

powiedział Galileusz, tylko Beretti, włoski Anglik. Beretti? Boretti. A może Baretti. I to dużo dużo później, w połowie osiemnastego wieku. O, albo Hus na widok staruszki z wiązką chrustu *O sancta simplicitas!* Sam byłeś naiwny, głupi Jasiu! Wiara czyni cuda i przenosi góry. Jasne, a góry rodzą myszy.

Nacisnął klamkę, pchnął drzwi. Wszedł.

Zamknął drzwi na dwa z trzech zamków, odcinając dopływ łożowego zapachu baraniny. Jasne że u Rashida, no bo niby u kogo, u starej markizy na drugim? Pieprzony Berber. Cholerny, pieprzony, berberzyński Berber! O, też dobre, berberzyński Berber! Albo arabeskowy Arab. Albo mauretański Maur. Mauretański Maur? Bez sensu!

Nasłuchuje kroków tragarza, który z mozołem gigantycznego dwunożnego żółwia gramoli się do mieszkania nad nim tam, *pod szesnastkę, z tatusiem*. Z taką kanapą, Chryste! prawdziwy Atlas... Jak nic, wniesie *pod szesnastkę, z tatusiem* i ani jęknie. *Do szybkiego zobaczenia. Pokazać ci? Chcesz? Patrz!* Pod szesnastkę... Zaraz zaraz, pod szesnastkę? Aaa, pod szesnaaaastkę! Jak kiedyś wyłączyli prąd, to się przestraszył że na cały wieczór albo nie daj Boże na całą noc zostanie w ciemnościach, no więc poszedł tam, pod szesnastkę z tatusiem, zapytać czy mają zapasową świeczkę a sąsiad był chyba emerytowanym listonoszem albo czymś takim i otworzył drzwi w koszuli z ładnej flaneli w szkocką kratę. Całkiem fajna, zapomniałem spytać gdzie kupił, szkoda... Ciemne wory pod oczyma, poorany zmarszczkami kłopotów miły chłop.

- Świeczkę? A jasne że mam! Wejdz pan, wejdz, sąsiedzie. Nie wiadomo kiedy znowu włączą a jakby co, będziesz pan miał na wieczór. No wejdz pan, wejdz.

Z przedpokoju wszedł do stołowego z którego sobie zrobili sypialnię a sąsiad zaraz stawia wino domowej roboty, chyba z głogu w takiej przepięknej starej zielonkawej karafce, dziś już się takich nie robi, szkoda. Z głogu? Chyba z głogu. Zapach kurzu, leków i smacznie przyprawionej zupy rybnej. I przenikliwy zapach jeszcze czegoś, czego w pierwszej chwili nie rozpoznałem ale zaraz potem rozpoznałem.

Przez cieniutkie zasłony w maki złocista plama zachodzącego słońca na bukieciku sztucznych margerytek w plastikowym biało-niebieskim dzbanuszkach a na cokoliu *Kto we Mnie wierzy, to choćby i umarł, żyć będzie. Pamiątka z Lourdes*. Okrutna tandeta. Jego żona dogorywała w obszernym łożu z połyskliwej karelskiej brzozy wyschnięta na sucharek. Raz, dwa, trzy... Trzy? Nie, cztery sucharki na fajansowym, beżowym spodeczku obok kartoników i buteleczek z lekarstwami. Talerzyk to chyba oryginalny stary *Wedgwood*. A może nie? Może nie *Wedgwood*, może podróbka. Na ścianie klatka z osowiałym zmierzwiwym kanarkiem, wyczuwał nieuniknione? Podobno wszystkie zwierzęta a koty w szczególności wyczuwają go. I psy. Strasznie wyją po wszystkim, wierne do końca... Tak, na pewno był listonoszem. To jego elegijne *Rak, proszę pana. Cóż zrobić?* I zaraz skwapliwe, połyskujące niebiańską tęczą i brzmiające anielskimi chórami

- Ale wiara czyni cuda!

A ja na to

- O tak sąsiedzie, wiara czyni...

Rak, proszę pana. Cóż zrobić... Zazwyczaj boją się wymówić głośno jego imię. Samospelniająca się przepowiednia *Nie mów! Ja ciebie bardzo proszę, nie mów. Nie wywołuj wilka z lasu!* Wishful thinking to nazywają. Zaklinać nieuniknione. Co za bzdura! *Che sara, sara, nie?* Jasne. *Wysłuchaj nas Paaa-aaaa-nieeee!* Piękna martwa natura, *Konająca z Rakiem i Margerytkami*. Szkoła francuska, koniec dwudziestego wieku, numer katalogowy, cena wywoławcza... Jezu, co ja gadam? Sypialnia, umieralnia. W zaduchu niewietrzonego pokoju kancerokształtny zapach. Nie, nie kancerokształtny, kancerogeny! O, to poczułem na progu: zapach śmierci. *Wysłuchaj nas Paaa-aaaa-nieeee!* Aha, a to wino nie było z głogu, tylko z dzikiej róży!

Pili w uprzejmie zakłopotanym, zatroskanym milczeniu. Czy on skrzył w lewo kiedy poszedł po świeczkę? Tak, w lewo więc na pewno taki sam rozkład, dwa pokoje i łazienka z tymi wielgachnymi oknami po tej samej stronie co u mnie. Łazienka z widokiem na okna białej kamienicy z kutymi w żelazie balkonami, błękitnymi

okiennicami i bramami. Stoi tylko o parę metrów więc wszystko jak na widelcu kiedy się kapia, piorą, jedzą, biją, kochają. Ta mała Madeleine tirlitirli na fortepianie codziennie od szesnastej do siedemnastej. Kosztowne lekcje gry dla tego beztalentnego, małego aroganckiego potwora z mysimi ogonkami, walącego w klawisze z delikatnością drwa. Jej oszołomiona miłością do niej matka byłby całkiem całkiem, gdyby tylko zrobiła coś z włosami. Pan Antoine, emerytowany aktor przy porannej gimnastyce i nieodmiennie samotnych śniadaniach, obiadach, kolacjach, spacerach dokoła stołu. O, albo Ernest, zażywny fryzjer i jego czarny kochanek Simone. I kto wchodzi, kto wychodzi z bistro *U Gastona*. A kuchnia też na prawo od wejścia z ciemnego przedpokoju. Tak, na pewno ten sam rozkład.

Gospodarz wraca z kuchni kładąc przed nim świeczkę. Siadając uśmiecha się szeroko.

- Ja panie walczyłem w Indochinach. I w Algierii. Pustynny chłopak byłem...

Piaski pustyni w jego oczach spustoszonych dramatem.

- I w OAS byłem... Tak panie, w OAS. I nie mam się czego wstydzić, panie! Pod pułkownikiem Bastien-Thiry. Uścisnął mi rękę. Bohater panie a ci dranie rozstrzelali go jak psa!

Wzruszył się, wytarł łzę w zmarszczonym kącie oka.

- Ale umarł dumnie. Był dla nas jak prawdziwy ojciec, panie...

Wzdycha żałośnie i dodaje nagle z siłą

- Prawdziwy syn i duma Francji!

Dumny syn Francji uśmiecha się dumnie z prawdziwego ojca, dumnego syna dumnej z niego Francji a potem z trzewi wielkiej, rozeschniętej szafy wyciąga to pudełko po butach z wyblakłym napisem *Chaussures Boursier 36 ulica St. Gery* i widokiem czarnego męskiego pantofla na żółtym tle. Postawił na stole, zdjął pokrywkę.

- O, tu mam parę...

- Bernardzie! Proszę, nie zanudzaj pana.

- Ależ nie nie, proszę panią! Spiesznie mityguje chorą której pergaminowe ptasie łapki z zażenowania mną przeпоconą kołdrę.

- To naprawdę bardzo ciekawe. W końcu, jakby nie patrzeć, to wspaniały kawał naszej historii i naszych dzielnych chłopaków. Ojczyzna winna im wdzięczność.

Żołnierze! Dzisiaj czterdzieści wieków spogląda na was ze szczytów tych piramid! Pochwycił piramidalny błysk wdzięczności w jego oczach.

- O, a te tutaj dostałem za Dien Bien Phu, tysiąc dziewięćset pięćdziesiąty czwarty, Operacja Bóbr, panie! Wstał, salutując trzasnął kaptami

- Kapral Bernard Japrisot! Drugi Batalion Drugiej Francuskiej Powietrzno-Desantowej Grupy Bojowej. Melduję się na rozkaz! Usiadł. *Żołnierze, dzisiaj czterdzieści wieków...* Napoleon skończył jako cesarz a ten jako listonosz, myśli patrząc na podsuwane mu przed oczy orderzy.

- O i jeszcze ten za Indochiny... O, a ten, ten i te dwa za Algierię. Ech...

Non! Rien de rien ...

Non ! Je ne regrette rien

Nakrył pudełko.

- Mam od cholery zdjęć ze starych, dawnych... Wie pan, z chłopakami. Oazy, wielbłądy, palmy. I z akcji bojowych. Bo my zawsze na pierwszej linii, rozumie pan. No ale to kiedyś, przy okazji. Przecież wpadnie pan jeszcze kiedyś, nie? Nie tylko za potrzebą?

Roześmiali się z niezbyt szczęśliwego sformułowania.

- Oczywiście, przytaknął skwapliwie, skoro już się poznaliśmy a wino macie państwo świetne...

Na dowód wypił zachłannie, do dna.

- Jasne że wpadnę. Ot, choćby oddać świeczkę.

Zagapili się w okno.

- No panie... A jak się kąpie ta z drugiego piętra, o tam, w tamtym oknie... Były kapral wskazuje palcem. Taka pulchna... Wie pan która? Taka z fioletowymi włosami...

- Aaa, z fioletowymi włosami? Aaa...

- No, ta. Jest na co popatrzeć, nie?

Popatrzyli na siebie porozumiewawczo z uśmiechniętym rozbawieniem.

- O tak, jest na co patrzeć. Nie raz i nie dwa widziałem.

O tak, nie raz i nie dwa widział falujący biust tej Circe, kołyszący się pod natryskiem. A kiedy zmywa balkon? Ho ho, dobrze wie że ją podglądam i dlatego zawsze bez majtek w tych fikuśnych kusych szlafroczkach. Codziennie wypięta codziennie zmywa albo zamiata posadzkę idealnie czystego balkonu ale przedtem zawsze przewiesi jakieś ręczniki, szmatki, chodniczki zostawiając przestrzeń na tyle dużą żebym ją dobrze widział. *Pokazać ci? Chcesz? Patrz!* Ktoś to kiedyś powiedział do mnie... Kto tak do mnie powiedział? Tylko ja ją widzę. Inni nie, inni nie widzą bo jak? Nie ten kąt. Dobrze wyliczyła, matematyczka. Pieprzyć jej się chce. I nic dziwnego, jej mąż czy kochanek pojawia się regularnie ale co tydzień. I wtedy zawsze odpicowana, w spodniach; i zawsze koraliki, szpileczki, elegancka. Ten facet to chyba jakiś kierowca *Tira*. Może. Baba ma ze dwadzieścia pięć, dwadzieścia siedem lat, może ciut mniej. No to jak ma się jej nie chcieć pieprzyć? Która wtedy była? Szósta rano? Szósta albo coś koło tego. Waliła dłonią w bóg ducha winny jasiek jakby chciała wszystkich pobudzić a to był sygnał dla mnie *Jestem gotowa, patrz!* I żeby chociaż leciał z niego kurz. Circe widzi mnie przez żaluzje, sprawdza patrząc przez swoje firanki czy jestem na posterunku i wychodzi, kuca, wypina się i poleruje ten czysty balkon a wszystko ma na wierzchu, różowa i rozwarta. Muszla. A Edwin nie wierzył

- Ee, nieeee... Ma majtki, stringi.

- Nie ma.

Circe pochyliła się niżej, ukazując.

- Ojezu! O kurwa, ty, rzeczywiście nie ma! Ty, popatrz! Ojezu, popatrz! No, stary...

Ty to masz fajnie, darmowy peep-show. Ech, żebym ja miał takie okienko...

Nie wierzył aż uwierzył. Tak, ja to mam fajnie. I ona ma fajnie. Wszyscy mamy fajnie, codziennie darmowy pokaz. Chciałem ją zaczepić na ulicy albo w piekarni. Albo u *Gastona*. A jeśli mi powie... I po cholerę mi skandal, co innego pokazywać, co innego podglądać a co innego... Biedak! Pewnie dawno się nie kochał... Iskierki podniecenia w jego oczach. A w jej oczach smutne zawstydzenie. Zawstydzenie? A może to żal, że już nigdy? Przecież jest taka chora, że oni już na pewno od dawna tego nie robią. Ciekawe, czy ona myśli *kiedyś byłam ładna*? Bo wygląda na to, że kiedyś była ładna. Nawet bardzo. Straszne!

Odwrócił z zażenowaniem głowę od łóżka chorej a były kapral uśmiechnął się szeroko.

- Ale mnie ona się wcale nie podoba, za tłusta jak dla mnie. Chociaż cycki ma niezłe. Pośmiali się odrobinę a kobieta w zapoconych piernatach wykrzywiła woskową twarz

- Panie kochany, no bo i kto to słyszał żeby takie wielkie okno w łazience? Zupełnie jak jakaś wystawa w sklepie. No kto to słyszał, żeby takie wielkie? A niektóre zdziwy tam, to nawet nie powiesiły zasłon! Sodoma, proszę pana! Wstyd! Za moich czasów...

Na dźwięk jej głosu ptaszek nagle zaszczebotał cieniutko, anemicznie, strzepnął skrzydełkami i wtedy ucichła. Mnąc żółtymi palcami pościel, patrzy w sufit. O czym myśli? *Non! Je ne regrette rien...*?

- No, to ja już pójdę, mówi biorąc świeczkę. Dziękuję serdecznie, jutro odkupię i zwrócę.

- Nie ma pośpiechu, sąsiedzie. W końcu się nie pali się, prawda? W końcu to tylko głupia świeczka.

Właśnie, w końcu tylko głupia świeczka. I właśnie dlatego trzeba było pójść i oddać, cholera! Wpaść ot tak, po prostu jak człowiek. Tak, te wielkie okna... Teatryk tani, więc i repertuar niebogaty. *Sekrety Życia*? Lepiej: *Tajemnice Paryskich Kamienic*. A cóż to za cholerny banal? Tytuł brukowej powieści. Ale rzeczywiście, kto to projektował? Podglądacz? Ekshibicjonista? Naprawdę miałem odkupić, odnieść. Daleko nie miałem, psiakrew. Pod szesnastkę. Widocznie zmarła, biedaczka... Kiedy wychodził, tamten rozpaczliwie chwycił go za ramię

- A tę świeczkę to wie pan... nie musi pan. W końcu to tylko głupia świeczka. I z załzawionym, męskim smutkiem, były kapral bohaterstwo pointuje

- To już niedługo, wie pan. Najwyżej miesiąc, może dwa... No a jak Bóg da, to może i ze trzy. Wie pan, teraz to już tylko w Bogu nadzieja.

Patrzy na niego lornetkami nadziei więc poklepał go po ramieniu

- Odwagi, przyjacielu, wiara rzeczywiście czyni cuda. Mówi tak, bo nie wie co innego może powiedzieć. Tak, wiara czyni. Nawet nie wiem kiedy zmarła. Kiedy on się wyprowadził? Cholera, mogłem zapukać, wejść, pocieszyć. Ech, takie to i teraz czasy. Człowiek żyje, cierpi, umiera i nawet pies z kulawą nogą... Cholera, jako ludzie całkiem zesłaliśmy na psy.

- Dobry Boże, chyba mi nogi odpadną!

Wstawił swoje umęczone buty do orzechowej szafki w przedpokoju równiutko jeden obok drugiego według niewidzialnej linii, na szafce położył plecak z zamiarem wypakowania go gdy tylko trochę odpocznie. Zdjął prochowiec, strzepnął i zawiesił starannie na wieszaku prostując najmniejsze zagniecenia, wsunął wieszak do szafy między inne prochowce. Na drzwiach szafy stolarz zamontował lustro wystarczająco duże, aby gdy tylko zechce mógł obejrzeć całą swoją postać więc dokładnie obejrzał całą swoją postać i pokręcił z niezadowoleniem głową. Muszę iść do fryzjera, zarosłem. Westchnął jak wzdychała jego matka gdy szydełkując przypatrywała mu się z niepokojem sponad rogowych okularów o szklach grubych jak denka musztardówek, upodabiających jej gałki oczne do monstualnych bilardowych kul pożyczowanych na czerwono.

Kolejny raz westchnął czując chłód podłogi i niebywałą ulgę w palących stopach, gdy niosąc zakupy do kuchni stapał w samych skarpetkach. Położył papierową torbę na stole i klepnął się w czoło

- Papierosy!

Wraca do przedpokoju, wyjmując z kieszeni płaszcza paczkę *Cameli* widzi dłoń podciągającą lewą stopę wysoko na prawe udo tam, gdzie między falbankami lśnią gołe pachwiny *Pokazać ci? Chcesz? Patrz!* i zastanawia się, no kto to już kiedyś do mnie powiedział? bo ktoś to już kiedyś... ale kto? Kiedy? Cholera, nie pamiętam. Szkoda że miała majtki. *Do szybkiego zobaczenia*. Poczul lekki wzwód. To ze zmęczenia i senności, pomyślał.

Wrócił do kuchni, zapalił papierosa.

- Lo-li-ta, Nabokov... W którym roku? No patrz, że nie pamiętam?

Zdziwiony że nie pamięta, bierze emaliowany czajnik zdejmując pokrywkę opiera czoło o szafkę z talerzami i zastyga nad strumieniem wody dziarsko płynącym do czajnika.

- Jezu, ale mi się chce szczać! No zaraz, to w którym to było? Lolita, Lolita, Lolita... W którym... Nabokov... A swoją drogą to cholernie ciekawe, że jak tylko pomyślę Nabokov to mi wcale nie przychodzi Nabokov tylko Romain Gary i te jego *Obietnice Poranka* a nie Nabokov ciekawe, nie? Ciekawe, bardzo ciekawe a czasami Saint-Exupéry albo Camus. Camus i *Dżuma*. Ooo, Camus... *Pod pułkownikiem Bastien-Thiry, panie! Uściskał mi rękę, panie!* Palmy, Algieria, Oran, burnusy... *Dżuma*. I oazy. I daktyle z garbatymi wielbłędami. Czarny wielbłądzi pęcherz opuszczano do studni po wodę, papirusy, piramidy, mumie. *Dżuma*. Wspaniała, cholernie wielka rzecz. Ba, Camus! Pracował tam, miał łatwiej a niby skąd ja mam tutaj brać pomysły? No a skąd brał Boccaccio, dupku? Boccaccio. Czemu nie Kobo Abe? *Kobieta z Wydm* albo te jego *Śpiące piękności*. Majstersztyk! Jak to się...? *Dom Śpiących Piękności* zdaje się. Nie nie, *Śpiące Piękności*. Śpiące czy śniące? A mniejsza, cholera, to przecież Kawabaty a nie Kobo! Wszystko mi się popieprzyło, zmęczony jestem. Do dupy jestem, bo stary jestem, ot cała prawda! I to moje żalosne nazwisko... He he, jak Dominik powiedział? Że najlepsze nazwiska już zajęte? Jasne, na przykład Homer. Albo Szekspir, Tolstoj, Joyce. Hemingway. No i Nabokov. Nieźle zarobił na książce. No i na filmie też nieźle zarobił. I każdy się zastanawia czy Vladimir Vladimirovich był pedofilem i lubił młode i nieobrośnięte, no bo skąd mu taki pomysł. Jak on to...? *Miedzy dziewiątym a czternastym rokiem życia zdarzają się dziewczynki, które pewnym zauroczonym nimi podróżnikom starszym od nich dwa razy albo wielokroć więcej, ukazują swoją prawdziwą naturę nie człowieczą lecz nimfią czyli demoniczną i tym stworzeniom*

*proponuję nadać imię nimfetek. A Byron? A niby dla kogo jego lordowska mość raczył napisać wiekopomne *Moje życie, kocham cię*? Dla dwunastoletniej panienki. Jak widać był nie tylko biseksem ale i pedofilem i jak widać wcale tego nie ukrywał bo ukrywać nie musiał, jak widać. W końcu był lordem i poetą? Był. A ćpunem i rabusiem na greckich gościńcach był? Był. I pijakiem. Jeden grzech więcej, jeden mniej, co za różnica? Kogo w tamtych czasach obchodziła jakaś nieowłosiona angielska cipa? No a choćby Lewis Carroll i ta jego Ośmioletnia Kochaneczka z Krainy Czarów. Platonicznie? Nooo, oczywiście że platonicznie! Platonicznie a jakże, he he. Ojezu, woda!*

Zakręcił kran, odlał z czajnika trzy czwarte wody, ze szczękiem nałożył pokrywkę. A ta fotografia na której ośmioletnia Alicja całuje wujcia Karolka? Widać jak ta mała otwiera usta do pocałunku z języczkiem ale niektórzy mówią że to fotomontaż. Może fotomontaż a może nie fotomontaż, bo niektórzy mówią że nie fotomontaż i mówią że jak fotomontaż, no to kto ma te dwie oddzielne fotografie z których zmontowano jedną? Nader roztropne pytanie. Albo te zdjęcia, które osobiście robił dziewczynom pan pisarz i matematyk w jednym. Cała kolekcja rozneglizowanych dziewczątek. Podobno fotografował je na golasa za zgodą mamusi, tatusiów, cioteczek i stryjasków, bo podobno ujmowała go *och!* ich dziecięca *och!* niewinna *och!* niewinność *och!* No jasne, mój panie! I o to w tym wszystkim chodzi, o tę pieprzoną niewinną niewinność, o najłatwiejszą do zdeflorowania rzecz mój panie. Platonicznie, a jakże! A co, miał powiedzieć że nie platonicznie i że chciałby je przerznąć? Wiktorianie urwaliby mu jaja i powiesili za szyję żeby wisiał i umarł w kwiecie swych grzechów. *Śluchaj! O, słuchaj!* Blanki Elsynoru. Dobry sobie, platonicznie. No ale z drugiej strony który facet, ale tak z ręką na sercu, który facet mógłby powiedzieć że nigdy ale to nigdy nie pomyślał o przetrznięciu albo choćby tylko o wymacaniu takiej młodej piczki? Nie przysięgną na grób matki że nie, o nie, ja nigdy! Ani na grób kota nie przysięgną. Panie prokuratorze, ja? Cóż za obu-rza-jące pomówienie! Nie przysięgną. A ja? A skąd u mnie pomysł na taką powieść? No więc powiedzmy, że po obejrzeniu fotografii tej dziewczyny, Divina la, Dante Alighieri. Stąd. Powiedzmy że pod ich wpływem. I po tej opowieści Stelli pijanej w cztery dupy *a wiesz? Jak miałam czternaście lat przyjechał do nas stryjek. A żebyś ty widział jaki był przystojny! I poszliśmy nad jezioro a stryjek No mała, weź i rozbierz się! No nie wstydz się stryjasko! I że jest gorąco i nikt nie widzi. No sama popatrz, kogo tu widać? No, nikogo. No i nikogo nie było widać to się rozebrałam a stryjek, tylko broń Boże nie mów nikomu! No, żeby nie mówiła nikomu. I rozebrał się. No a potem...* Takie tam, srata-tata... Albo dziewczyna ma bujną wyobraźnię pożądań niedokonanych albo rzeczywiście zagrała stryjcowi na flecie prostym, jak tyle innych przed nią. A, i jeszcze Hubert o tej kurewce w Marsylii. I to wszystko? Powiedzmy że wszystko ale nie przysięgnę na grób kota. Podsumujmy: fotografie tej gołej dupy, wspomnienia Stelli i Huberta. Wszystko? Wszystko. Nie, nie wszystko. A tych kilka nocy z Catherine? Wepchnąłem je do szafy z resztą moich upiorów. A musiałem? Nie, nie musiałem. Nie musiałem się od niczego odżegnywać.

Bawelnię, bladoróżowe dziewczęce figi w maleńkie krwisto-czerwone serduszka i skarpetki w takie uciészne owieczki a ociekała jak nieszczelny kran. A to jej *Już będę grzeczna, tatusiu...* Tatusiu! Cholernie ciekawe, że one zawsze szukają swoich tatusiów w kutasach obcych, starszych od siebie facetów, jak suka Lassie szukała swojego chłopczyka Joeya. Tak... Naprawdę była śliczna z tymi włoskami w pszczołki nad różowymi uszkami. Klęcząc i obciągając mnie patrzyła mi w oczy *już będę grzeczna, tatusiu* i uśmiechała się zalotnie. Zalotnie? Wyzywające kurewstwo w każdym z jej nieletnich kurwich oczu. I ten zapach na moich palcach: hormon?

Rozejrzał się po kuchni: zapalki?

- Zapalki, zapalki... A gdzieżes ja je...? O, są. I kto to dzisiaj używa jeszcze zapalek, Buszmeni? Muszę kupić tę... Jak to się? Pino? Piro? Jak...? Pizo? Pizoelektryczną? Nie,

piezo, piezoelektryczną. Kto wymyślił to *piezo*? Brzmi zupełnie jak pizda. *Już będę grzeczna, tatusiu!* Zalotnie i zachęcająco. Pizda Catherine cieknąca jak nieszczelny kran wepchnięta do szafy między upiory i spłowiałe wieńce z napisami na szarfach *Tylko Nie Mów Nikomu!* Różnica wieku między nami była wprawdzie niewielka ale dobry Boże, gdyby tak mama się dowiedziała! Tak, koniecznie kupić. Pizdaelektryczna. Och, co za bzdury!

Zapalił gaz i ustawił w idealnym porządku: na średnim palniku gazowej kuchenki emaliowany beżowy czajnik zdobiony wizerunkami pięknego czerwonego homara, krewetki, rozmaitych wesołych rybek oraz innymi motywami frutti di mare. Czajnik wypełniony tylko w jednej czwartej zaczął się rytmicznie kiwać postukując denerwująco, wkurwiając go niemiłosiernie tym postukiwaniem więc podniósł go i ustawił równiutko. Na blacie kuchennego stołu postawił jedną szklankę żaroodporną pokrytą kalkomanią przedstawiającą bukiet polnych kwiatków, położył dwie małe łyżeczki od herbaty, blaszaną puszkę tabaczkowego koloru pełną suszonych liści czerwonokrzewu *Aspalathus linearis*, które odpowiednio zaparzone smakowały wybornie, o niebo lepiej od takiej czarnej zwyczajnej herbaty a które nauczyła go zaparzać panna Sara ochoczo ucząca go afrikaans kiedy przyjechał do słonecznej Republiki Południowej Afryki a potem do Namibii żeby pochować przyjaciela-samobójcę z którego żoną sypiał w Paryżu.

Postawił mały ceramiczny pojemnik w kolorze kobaltowym pełen brązowego trzcinowego cukru którym zawsze ale to zawsze słodził herbatę a właściwie wszystko sobie nim słodził jeśli już słodził, bo innego cukru nie lubił. No może nie to że nie lubił, tylko tak przez wszystkie lata przywykł do tego trzcinowego brązowego cukru który nauczył się spożywać w słodkim towarzystwie panny Sary, kobiety niebywale wykształconej, nadzwyczaj szykownej i nad wyraz eleganckiej, że teraz za nic ale to za nic nie umiałby się przełamać i skonsumować na przykład tego prostackiego białego krystalicznego z buraków cukrowych albo tego sypkiego jak warzona sól, też z tych odrażająco brudnych buraków brr!

Więc jedną łyżeczką od herbaty wsypał jedną łyżeczkę *Rooibos* do szklanki z kalkomanią w kwiatki. Jeszcze. Wystarczy? Jeszcze odrobinę. O, teraz wystarczy. A drugą łyżeczką od herbaty nasypał na listki *Rooibos* dwie łyżeczki tego swojego ulubionego, brązowego, wyśmienitego trzcinowego cukru a potem dosypał jeszcze niecałe pół, bo lubił słodko a nawet bardzo słodko. Kiedy czajnik zagwizdał *wiuuuuuuuuu!* wyłączył gaz, odczekał trzy minuty jak uczyła go panna Sara i zalał listki, potem delikatnie zamieszał a potem starannie umył obie łyżeczki od herbaty a jeszcze potem bardzo starannie wytarł je i odłożył do szuflady do specjalnego drewnianego pojemnika w którym od zawsze było miejsce starannie umytych i wytartych łyżeczek. Chwilę później schował puszkę z *Rooibos* do szafki gdzie trzymał inne puszki z *Rooibos*, obok ustawił kobaltowy pojemniczek z tym swoim ulubionym brązowym cukrem bo porządek zawsze i we wszystkim jak mawiała jego nieboszczka-matka Panie świeć nad jej upierdliwą duszą. Amen!

Kiedys zobaczył ją stojącą nago przed lustrem szafy. Z tragicznie gorzkim smutkiem patrzyła na swoje ciało uwiedle jak wyschnięta jarzyna i płakała szepcząc *Boże, przecież nie mam nawet czterdziestki!* Nawet teraz słyszy ten wyszlochany szept i myśli że przecież mogła po prostu pójść z kimś do łóżka, dać się zerznąć jak każda normalna baba a wtedy jej życie i jego kąpiele wyglądałyby inaczej. I moje sny wyglądałyby inaczej myśli ale po chwili myśli a co ja tam wiem? Ech, gównie wiem... Jak się tak człowiek zastanowi, to nic nie jest takie proste jak się wydaje, nie?

Idzie do pokoju. Stawia szklankę z herbatą na korkowej podstawce na prawo od maszyny do pisania. Wraca do kuchni po wódkę. Wchodzi do pokoju. Odkręca butelkę, przymykając oczy z zadowoleniem wacha wylot szyjki (38 procent wielokrotnego destylowania). Dopełnia alkoholem szklankę z gorącym *Rooibos* i siada wygodnie w

tym wygodnym starym fotelu wyściełanym zielonkawym wytartym pluszem, jedynej pamiątce po Mirelle jeśli nie liczyć jej fotografii, tej w owalnej ramce wiszącej nad łóżkiem albo zielonego puloweru, który zrobiła dla niego z tej swojej starej spódnicy. Nadal leży tam w starej szafie bo on czuje dziwny opór przed tym żeby go ot tak po prostu wziąć i po prostu wypieprzyć w jasną cholere na śmietnik. No tak, łatwo powiedzieć *wypieprzyć w jasną cholere na śmietnik* ale jak się tak człowiek zastanowi, to nic nie jest takie łatwe ani proste.

Wypił spory łyk i odstawił szklanke na korkową podstawkę. Zamknął oczy i wywołał w pamięci pokój który zajmował w drewnianym domu na przedmieściu Johannesburga u panny Sary. Widzi jej twarz a później materializuje mu się jej nagie wspaniałe duże, białe i piegowate ciało, jej szeroko rozpostarte tłuste białe uda i rubinowe, prawie czerwone włosy łonowe i widzi gołą pijaną kuzynkę Elizę tam, w kamiennej stodole pod Alpami *hollo-jorli-jiiii* na sianeczku sianie w zapachu wysuszonych chabrów, maków i koniczyzny, jak na czworakach z wypiętym białym dupskiem sunie tyłem jak rak, że *hollo-jorli-jiiii*! Z glinianej okaryny którą dostał od wujostwa, krople zimnej wody kapąły mu wprost na kolana. *Hollo-jorli-jiiii*? O, matko!

Wstał żeby odnieść szklanke do kuchni, wytrząsa paprochy do kubła, myje szklanke starannie, odstawia szklanke między inne szklanki, wyciera do sucha i połysku zlew, dobrze. Idzie do kibla, wszedł i z przesadną uprzejmością kiwnął głową siwej głowie madame wyglądającej z okna na wprost. Gdyby ta stara pizda mogła, to by mi ten wścibski nos wsadziła w dupę. Poczul, że ooo, bardzo chce mu się lać a chce mu się lać od chwili jak tylko nalewał wodę do czajnika nie nie, już na schodach mi się chciało i rytualnie pomyślał no i co za zboczony kutas wymyślił takie wielkie okno w kiblu że nawet w kiblu nie ma spokoju? A tę świeczkę to mogłem odnieść. Podniósł klapę.

- Mam! W sześćdziesiątym drugim, Kubrick! Kubrick, na podstawie scenariusza Nabokova. James Mason jako Humbert Humbert a w roli matki ta, jak jej było? Cholera, no jak jej było? Napiął przeponę, jeszcze parę kropli *siiii*... Sisters? No ta blondyna w wyblakłym angielskim typie... Jeszcze kilka kropli. *Piiiiinters*? *Siiiiisters*? Winters? Czekaj czekaj, zdaje się że... Bo Lolitę zagrała Sue Lyon, tego się nie zapomina. Ostatni wysilek. Mam, to była Winters! O tak, Shelley Winters, u! Winters? Winters... Jak moja konsjerżka po angielsku, ciekawy zbieg.

Otrzeptał członek, schował nie zasuwając zamka, umył ręce, przyglądał włosy na potylicy i podszedł do wanny. Odkręcił kurki żeby wyregulować temperaturę, dobrze, nie za ciepła. Siedząc na krawędzi wanny rozbiera się powoli rzucając na posadzkę koszulkę, krawat, podkoszulkę, spodnie, skarpetki i myśli o tym że znowu schudł ale niewiele najwyżej jakieś dwa-trzy kilo. Najwyżej. Może troszkę więcej. Spuchnięte kostki? Nic dziwnego. No patrz, mam ciemne kłaczki pod paznokciami. Aaa, to nie brud to nitki ze skarpetek. Muszę przyciąć paznokcie. I włosy.

Przezcesał palcami fryzurę patrząc do lustra. Widzi odbicie tej starej z naprzeciwka, gapi się jakby nie widziała gołego faceta. A może i nie widziała. A może widziała, tylko zapomniała? Prukwa ma ze sto lat. Albo pięćset. Na pewno nie pamięta którym końcem się wkłada.

Zakręcił kurki, podniósł nogę, wszedł do wanny i zanurzył się z westchnieniem ulgi *Oooooooooo* i poczuciem bezgranicznego szczęścia

- *Oooooooooo*... No tego mi brakowało.

Przymknął oczy i zanurzył się po czubek brody *oooooooo*jezu, tak! Katmandu, Delhi... Brudne dzieci krowy gówna pawie w locie sitar Hari Kriszna tygrys... Tygrys? Tygrys. Chude agresywne psy szczerbate kurwy w zasranych bramach brudne dzieciaki kapiące się w ściekach...

....święte wody Gangesu obmywają wrzody pątników, niedopalone ludzkie zwłoki, wzdęte ścierwa zwierząt płynących pospołu leniwie ach jak przyjemnie kołysząc się wśród fal sfraternizowane przyjemnie w leniwym nurcie spienionym odchodami szamb

i kanalizacji które z grubych rur leniwie przyjemnie srają bez żenady... prosto między kasztanowe przyjemnie uda dziewczyn leniwie myjących przyjemnie cipy i rozbawione przyjemnie leniwie dzieci... Oto co znaczy usrać się na ludzi! O tak, właśnie tego mi brakowałoooooooooo...

Gapiąc się w zapłygnięte deszczem okno, siedzi przy biurku w granatowym kąpielowym szlafroku. Miało nie padać, myśli. Cieszy się z niespodziewanej nawałnicy. Powietrze jest czyste, przesycone zapachem świeżo skoszonej trawy wpływającym przez uchylone okna. Kąpiel i króciutka drzemka w stygnącej wodzie dodały mu siły i wigoru. Wspomina jak niespełna miesiąc temu dyskutował o literaturze w mieszkaniu Huberta i Moniki przy ulicy Lepic. Dyskutował? Jaka to niby była dyskusja? Co najwyżej monolog. Marguerite. No tak, Marguerite tak, ją interesowało. I Monikę. Ale Monikę z powodów które tkwią poniżej pasa, intelektualne orgazmy *och, recytuj mi Wergilego! Och, teraz, teraz!* Cała miękka i soczysta jak przejrzałe mango. Wariatka ale namiętna jak tornado. I zawsze ochocza. A wtedy w lasu? Panie! Oparta czołem o brzozę rozerwała w kroku rajstopy i wypinając tyłek charczała *o rany, pieprz mnie! Pieprz mnie! Oranyboskie! Recytuj!* Szkarłatne liście w jej włosach i wilgotny piasek między udami. Gdyby nie ta jej egzaltacja... A swoją drogą, ciekawe czy Hubert...

Hubert postawił kilka flaszek wina, gości kilka flaszek whisky i wódki, ktoś przyniósł wiklinowy kosz warzyw i owoców od jakiejś ciotki ze wsi w Prowansji. Eryk pił wódkę i pogryzał kanapki z pomidorem, polską kielbasą i ogórkami a dokoła gawędziło, śmiało się, plotkowało stadko półpijanych ludzi rozmaitej proveniencji, o na przykład ten handlarz pakistańskimi skórąmi, Turek. Turek a nie wiedzieć czemu z Danii. Albo tamten Murzyn-albinos, perkusista z Gwinei Bissau z kochankiem, zasuszonym ascetycznym Żydem, pejsatym znawcą Kabały i Szekspira. Albo milcząca piękna shemale z Tajlandii z chudą, australijską kochanką, pieśniarką country o cycach Dolly Parton. No i Ryszard, malarz-symbolista, polski emigrant o twarzy głodnego wyżła i spuście Niagary. Wyżłopałby sok z psiego gówna gdyby zwęszył w nim alkohol ale kielbasę przyniósł wspinałą. Tylko ta jego flama! Anorektyczka w półprzeźroczystych szarych legginsach w złote kaczuszki. Była bez majtek, więc Bo-że niemiłosierny! cipa na wierzchu a jak się schyliła po tartinkę mogłeś podziwiać zmarszczony guzik jej dupy. Artysta z czymś takim?

- Co mnie obchodzi sztuka? Ryszarda obchodzi sztuka a mnie obchodzi forsa, rozumiesz?

Prostaczka. Może i prostaczka ale w przedpokoju wzięłaś od tej prostaczki karteczkę z telefonem? Wziąłem i co z tego? Czy Rysiek wie? Wiem, że wie. Hubert pewnie też. A, mniejsza. Oczywiście, jak tylko się spał, zaczął się wymądrzać że w powieściach kryminalnych mordercę zawsze poznajemy na końcu a w prawdziwym życiu? A w prawdziwym życiu z naszym mordercą śpimy, jemy sznycle, chleb, pijemy wino, wodę i wódkę. I z mordercą kopulujemy. Miano mordercy, którego imię cni autorzy zdradzają nam na ostatnich stronicach swoich kryminalnych powieści, w realnym świecie poznajemy w tym pierwszym błysku pogardy i zniechęcenia, które dostrzegamy pewnego dnia a skierowanym przeciwko nam przez naszych najdroższych. Uwierzyć mi na słowo, to spojrzenie jest wyrokiem śmierci a rodzaj egzekucji oraz czas i miejsce kaźni pozostaną dla nas nieznane. Jak i to, czy poprzedzone zostaną długo lub krótkotrwałymi torturami, wymyślnymi niczym szlachetna sztuka interogacji malajskich piratów.

- Kochani, niepewność! Niepewność to jedyny pewnik na którym winniśmy się oprzeć, jak utrudzona kurwa wspiera się o latarnię: nie-pew-ność!

Jak utrudzona kurwa wspiera się pewnie o niepewny szklany stolik żeby nalać sobie wódki, jedynej pewnej dzisiaj rzeczy.

- W powieściach autorzy wysnuwają wątki swoich historii z kłębka jak Tezeusz purpurową nić owczej wełny z moteczka urokliwie naiwnej panienki Ariadny, prowadząc czytelnika za rękę wzdłuż pracowicie wytyczonej przez siebie linii wiodącej

dokładnie od punktu A dokładnie do punktu Zet. I nie wydeptują przy tym żadnych pobocznych ścieżek, nie odwiedzają zakazanych ślepych zaułków cuchnących oddechem morderców, barwicznymi tanich kurew i moczem bezdomnych pijaków, nie! Oni w ogóle nie napotykają żadnych korytarzy niespodziewanie wiodących ich bohaterów a wraz z nimi czytelników, do miejsc i ludzi niespodziewanych a w dodatku ich powieści kończą się ostatecznie wraz z postawieniem finalnej kropki, choć autorzy awizują czytelnikom że bohaterowie żyć będą daleko poza ową finalną kropką. Milczenie. Więc łapczywie dopija wódkę i patrzy uważnie na wszystkich, jakby wąpił w ich obecność.

- Kochani, w życiu nic się nie kończy ostatecznie; każdy nasz krok wiedzie do ścieżek pobocznych, motając nas od ślepych zaułków pewności ulotnych do rozwidlonych jak język gada labiryntów niepewności i wieloznaczności. Każdy nasz krok wiedzie do miejsc i ludzi niespodziewanych ale, jakkolwiek byśmy postąpili, postąpimy dokładnie według nieubłaganego klucza-przeznaczenia: gdy postąpisz tak, stanie się tak. A jeśli nie postąpisz tak, tylko tak, wówczas stanie się to, to i to bo inaczej się stać nie mogło. Patrz: Edyp. Patrz: Jokasta. Szukaj pod: Ananke. Fatum. Dlaczego? Odpowiedź w jednym, bo nie inaczej. A koronnym świadkiem słuszności mojego wyводу niechaj będzie trzewik każdego z tutaj zgromadzonych, którzy krocząc jakiegokolwiek dnia w dowolnym kierunku wkroczyli niespodziewanie w psie, krowie czy kocie gówno i to wtedy, gdy najmniej się tego spodziewali... Zapamiętajcie dobrze: A-nan-ke. Dicte!

Patrz na niego w niepewnym, zdumionym niecierpliwym milczeniu, aż nagle jakiś ktoś z ulgą

- Świetnie, stary!

- Masz rację, stary!

- Stary, brawo!

Tu i tam rozlegają się nikłe oklaski i nietłumione westchnienia ulgi i raptem inny ktoś odpala lufkę a jeszcze inny włącza magnetofon, nagle wszyscy zaczynają tańczyć, płaść, hopsać i czaczać. Czekają tylko na kubańską kongę, trzy kroki i tupnięcie. Cięcie! Kurtyna! Adieu!

Wrócili przed północą i od razu poszli do łóżka. Kochali się krótko z czułą zawziętością a potem Marguerite zasnęła z dłonią pod policzkiem. Jak dziecko, pomyślał patrząc na nią a potem długo patrzył w sufit po którym pełzały szare cienie topoli.

BARDZO NIEGRZECZNA DZIEWCZYŃKA *OJEJ!*

Siedzi przy biurku podpierając brodę na dłoni, za oknem dogasa szary deszcz, na parapecie zmierzwiony gołąb wtula łebek w pióra.

- Psiakrew, miałem zadzwonić do Stelli!

Skrzypnięcie sufitu coś mu przypomniało: Lolita! Uda. Pachwiny. Trzynaście? Góra czternaście ale na pewno nie więcej. Mniej może, ale więcej na pewno nie.

Znieruchomiał nad telefonem, wyobraża ją sobie tutaj nagą na futerku przed kominkiem. Zimą trzeba by napalić, myśli. *Oby była sroga zima... La la la lala...* Albo tam, na kanapie

- Rozbierz się, kochanie i połóż o tu, na futerku...

A ona cudownie odegra zaskoczoną

- Ojej, proszę pana!

Już słyszę to *Ojej!* Na pewno dawno przerznięta, bo przecież ta dzisiejsza...

Wykręca numer a po niecierpliwym wysłuchaniu kilku sygnałów z irytacją odkłada słuchawkę; patrzy na zegarek. No i gdzie ona się podziewa, łązi po sklepach? Do tej pory? Niemożliwe. No nic, później. Teraz do Marguerite. Po trzech sygnałach słyszy jej głos więc uśmiecha się, opiera wygodnie i przymykając oczy mówi

- Witaj, kochanie! No, nareszcie jestem. Tak, strasznie tęskniłem, strasznie.

Słucha odpowiedzi.

- Rozumiem, dobrze, wpadnę wieczorem, pa!

Bębniąc palcami w biurko, patrzy w okno, widzi Marguerite idącą jakiś rok temu promenadą w Antibes i tłum facetów oglądających się za jej długimi nogami i wypiętym tyłeczkiem, jak to było z Catherine? O tak, to jest warte opisanie, zdecydowanie! Zdecydowanie zgłodniałem.

Zdecydowanie głodny idzie do kuchni, wyciąga bagietkę, sery, duńską margarynę i pomidory. O, z małą Catherine to była całkiem inna bajka, miała dziecko z tym przyszczatym z sąsiedniej klatki, zawsze w dżinsowym komplecie, pomocnik w rzeźni czy gdzieś tam. Kroi bagietkę na cztery równiutkie części. Październik? Nie, nie październik, początek września. Jej jaskrawożółta mini, strażacka czerwień rajstop, karmazynowa bluzeczka a pod nią te jej spiczaste sucze cyci z fioletowymi, wielkimi jak spodki brodawkami. Cholera, ile ona wtedy miała? Ale dokładnie... Zastyga z uniesionym nożem a margaryna z plaśnięciem opada na blat: PLASK!

- Żesz kurwa! Że toto musi latać po całym stole! rzuca nóż z pasją. Chyba wrócę do masła.

Zebrał nożem margarynę, dosmarował bułkę. Teraz nakłada sery, talarki pomidora i cebuli, pięknie. Posolił i popieprzył. Pewnie, wrócę do masła i będę czekać rok nim rozmarznie! Niesie do pokoju talerzyk i wraca po herbatę a potem wraca z herbatą do pokoju. No właśnie, ile dokładnie miała, czternaście? Coś koło tego. A ja? No zaraz, policzmy... Skoro ona wtedy miała... No to ja wtedy miałem... Przelicza wzrokiem rozstawione palce, dwadzieścia cztery? Dwadzieścia sześć? Tak, dwadzieścia sześć albo coś koło tego. Patrzy na kanapki. Albo coś koło tego. Ta jej matka była dobra: córeczko, radź sobie! I adieu-Fruziu, poooszła w świat z jakimś fagasem, zostawiając w mieszkaniu małą dziewczuszkę rozdętą jak balon. Wejście było od podwórka, pierwsza klatka po lewej stronie, mieszkanie na pierwszym piętrze, też po lewej dokładnie nad warsztatem tego jubilera. Jubilera czy zegarmistrza? Grawera? Grawera, jubilera i zegarmistrza, człowieka renesansu z cyklu e pluribus unum. Stary, pomarszczony Alzatzczyk w baskijskim berecie na tysej pale, ponoć mason. Śmierdział podłymi, algierskimi cygaretkami. A jak zacmokał z powątpiewaniem! A jak obracał w palcach, potraçał przy uchu, badał pod lupą i mówił

- Nie nie, to jest gównu, proszę szanownego pana. Więcej roboty niż to warte. Ale w końcu naprawił mi tego Pateka. Miał zaledwie dwucyfrowy numer. Więcej roboty niż. Pieprzony cwaniak pewnie myślał, że mu sprzedam za psi grosz. *Patek* gównu wart! Łajza. Szkoda, że mi przepadł... A co mi nie przepadło? A ta jej mała to miała ile? Nie pamiętam imienia... Miała ze dwa? Chyba. No to Catherine czternaście. Utuliła i uśpiła małą *luli-luli* i zaczęła się rozbierać tak szybko jakby się jej paliło w majtkach. Kołysze tymi spiczastymi cyckami suki z fioletowymi brodawkami wielkimi jak spodki i jak pobożna orantka pada na kolana

- Ojezu, daj mi go zaraz! No, wyjmuj szybciej!

Więc on rozpina w pośpiechu pasek, guzik, rozporek, ściąga spodnie, slipy, staje nad nią, ona otwiera żarłoczne usta piranii a tu jak nie pieprznie

BARAM-baram!

baram-BARAM!

Dwudzwon stojących obok dwu kościołów dwojga wielkich świętych Józefa i Elżbiety. Nie grzeszyć więcej? Ooo, chciałaby nie grzeszyć więcej ale będzie grzeszyć więcej. Będzie grzeszyć, że *hollo-jorli-jiiii!* Tak była napalona, tak była napalona że ociekała jak nieszczelny kran, no tak była napalona! I ten żrący śluz i zapach na moich palcach, słodkomdlący. Hormon? Feromon. Feromon? Jaki feromon, przecież feromon nie ma zapachu, głupku, hormon. *Ojezu, daj mi go zaraz!* Myślałem że go odgryzie, przeżuje i połknie na tej kanapie a obok nas dwa wesołe, pluszowe niedźwiadki i zezowata lalka a ona cała pokryta gęsią skórą

- Wyzwij mnie! Powiedz: ty dziwko! Uderz mnie! Mocno!

A kiedy jej przylałem w tyłek, piskliwym głosikiem modulowanym na skruszoną dziesięciolatkę zapewnia z kurwim chichotem *Jestem bardzo niegrzeczną dziewczynką, tatusiu, ale już będę grzeczna, tatusiu!* I dziwka spuszcza oczęta i oczęta podnosi i śliczna dziewczynka przenikliwie wpatruje się w jego oczy i zalotnie uśmiecha. Zalotnie? Jakie kurwa, zalotnie? Jakie zalotnie? Prowokująco. Zachęcająco. Wyzywające kurewstwo w każdym z jej wyuzdanych dziecinnych oczu.

- O matko, ile tu kurzu!

Rękawem szlafroka ściera kurz z maszyny do pisania i biurka, wystarczy. Siadając gryzie kromkę, wkręca papier, marszczy czoło

- A co on do cholery taki żółty? Aaa... to jeszcze z tej starej ryzy!

Skończył żuć, patrząc z niechęcią na talerzyk, później dokończy, jeszcze mniej mdli po tym locie. Sięga po papierosy. Zapalił i zaciągnął się głęboko aż poczuł bolesne ukłucie w prawym płucu. Ojezu, chyba rzucę w cholere, bo mnie to kurewstwo w końcu zabije! Pieprzenie, sam siebie oszukuję. Na parapecie mokry gołąb trzepotał skrzydłami.

- Dobra, która to strona? Dopiero dwudziesta czwarta? A ja myślałem, że...

Patrzy do teczki z notatkami i wyciąga z niej

1. Jedną dużą fotografię którą dostał od Stelli, z widokiem rudej, nagiej dziewczyny w kitkach z czerwonymi kokardkami, trzymającej pluszowego misia. Nazwał ją Dante.

2. Sześć innych, mniejszych fotografii Dante prezentującej detale jej nagiego ciała

3. Plan domu Dante który naszkicował na odwrocie katalogu domu meblowego.

4. Rachunek z *Vieux Bistro*, jeszcze nie wie do czego ale na pewno wykorzysta.

5. Etykietę ze starej butelki absyntu *Pernod Fils* (1904).

6. Zasuszony kwiat magnolii.

7. Fotografię z początków XX wieku: kliper *Maria Stuart* na wzburzonym morzu.

8. Rozkład kursów promu z Marsylii na Ille-de-la-Marie.

Na czym to ja... Czyta wcześniej napisany tekst *W pokoju z widokiem na zapuszczony ogród, Dante Gonçalves trzymała doniczki z orchideami i terrarium z seledynowym kameleonem. Zwęszył problem: gdzie to? Wodzi palcem, mam!*

Dante postanowiła odejść od niego właśnie wtedy, kiedy grad uderzał o szyby a w pokoju unosił się zapach kardamonu.

- Kardamonu? Kardamonu a nie cynamonu? No zaraz...

Zniecierpliwiony niepewnością wstał i w kuchni otworzył dwie puszki, pochylił głowę wachając z namaszczeniem ciemnobrązowe proszki jak kiper starą whisky.

- Cynamon? Nie, cynamon na pewno nie, teraz kardamon. Tak, zdecydowanie kardamon!

Wrócił do biurka Jeszcze pada? Firanka śmierdzi nikotyną i starym kurzem. Nie. Już nie. Wtyka palec w doniczkę, podlane, kochana pani Hiver. Morskozielone, jadeitowe oczy. Niezłe zdanie, przyda się.

Postanowiła odejść od niego właśnie wtedy, kiedy grad uderzał o szyby a w pokoju unosił się zapach kardamonu. Popatrzyła na kameleona zajętego bezruchem, doskonałą, najczystsza formą przetrwania. Nazywała się Dante Gonçalves i była studentką malarstwa w prywatnej akademii sztuki Antônia Dasmortasa, profesora Académie des Beaux-Arts w Paryżu.

11 lipca 1881 roku, Profesor przepłynął wzburzony Atlantyk na trasie od Calais do Cidade da Barra na trójmasztowcu *Holender*, dowodzonym krzepką ręką bluźnierczego jak sam szatan kapitana Hendrika Van der Deckena i zakupił część tej starej kamienicy przy Avenida Rio Branco.

- To tamten budynek, Señor Antônio. Ten obok parku. O, ten zarośnięty po dach chińskim powojem o kwiatach pachnących ametystami i krwią, widzi pan?

- Tamten?

- Si, Señor Antônio, tamten.

Na parterze urządził sobie wygodne, obszerne mieszkanko a na piętrze atelier, które szybko zyskało sławę Akademii. Niejednokrotnie omyłkowo wchodzili tam podpici eleganccy gentlemani w cylindrach i z laseczkami. Omyłkowo, bowiem drugie piętro zajmował ekskluzywny burdel Doña Eleonory z meblami o wytartych złoceniach, spłowiałych panneau i sztukateriach z tych wspaniałych czasów, gdy kauczuk był droższy od złota a dziewczynom płacono rubinami Och, jakie tam były dziewczyny, mój Boże! Ciała we wszystkich kolorach tęczy, wszystkich kształtów i rozmiarów, mój Boże! Czcigodna Doña Eleonora prowadziła swój przybytek żelazną ręką, spowita w czarne koronki z nieodłącznym różańcem w suchej, ptasiej łapce, dziewczęta z niekłamany szacunkiem i lękiem zwały ją jararaca.

Dante była Zamba. Nawet więcej niż Zamba, bo w jej żyłach płynęła krew nie tylko portugalskich konkwistadorów, Maurów, Białych, Metysów, Kreoli, Murzynów, Indian, hinduskich zaklinaczy węży i afgańskich tkaczy latających dywanów ale i Chińczyków, którzy w dawnych czasach pracowali tutaj na budowach linii kolejowych, mostów i dróg. Chińczycy wieczorami palili opium w długich fajkach tęskniąc za ojczyzną, śniąc o Wielkim Murze, smokach i Jangcy i pozostawionych za Oceanem żonach i kochankach. Pewnej nocy, gdy osypały się gardenie Doña Amelia de Oliveira Pinson da Silva, babka Dante poczuła jak nagły ogień zapłonął w jej czterdziestoletnim dziewiczym podbrzuszu wędrowniej kucharki. Weszła do namiotu kulisów śniących w mgłach opiumowego dymu i oddała się najpierw Wu Pei a potem dla pewności niejakiemu Peng Li i po kolei jeszcze wielu, wielu innym. Brzemienna opiumowanym nasieniem wyszła z namiotu i najpierw na ośle, później koleją, potem czółnem i wreszcie pieszo wróciła do swojego zakurzonego miasteczka zaszytego w dżungli na brzegu Rio Negro. Siedem miesięcy później w owej smutnej porze gdy rtęciowe krople huraganów zbierają się w zakamarkach

korkowców a banany pachną niespodziewaną śmiercią, powiła nadzwyczajnie piękną dziewczynkę, którą nazwała Eufemia a którą pokochał nawet jej ojciec don Cristobal Pinson da Silva, do tej pory nieubłagany dla bękartów i córek-ladacznic.

Szesnaście lat później mała słodka Eufemia urodziła córeczkę z namiętnego związku z Adrianem Gonçalves, pięknym jak młody bóg indiańskim handlarzem rtęcią. Nim położnica oddała ducha Bogu na skutek gorączki bagiennej, zdążyła podarować małej swoją nieziemską urodę i nadać imię Dante zaś ojciec z rozpaczy powiesił się na palmie. I tak osierocona Dante Gonçalves wzrastała w domu swego dziadka a gdy ten zmarł w imponującym wieku stu sześciu lat odziedziczyła fazendę i zajęła się hodowaniem orchidei i Furcifer oustaleti, malgaskiego kameleona-olbrzymia, pozostawiając uprawę ziemi i hodowlę bydła parobkom i dzierżawcom.

Pewnego ranka o piątej na widok urubu wynurzającego się z tęczowej mgły czarnym cieniem zrozumiała, że jej prawdziwym powołaniem jest sztuka więc podjęła niezłomną decyzję o wyjeździe do Cidade da Barra i oddaniu się nauce malarstwa. To właśnie owej nocy w chwili, kiedy grad uderzał o szyby a w pokoju uniósł się mistyczny i podniecający zapach kardamonu postanowiła związać się na zawsze z Profesorem Antônio Dasmortasem z paryskiej Académie des Beaux-Arts i właścicielem prywatnej akademii sztuki w Cidade da Barra o którym mawiano że ma oczy jaguara, dłonie czarownika a w jego żyłach płynie Sangre De Drago. Cokolwiek to oznaczało.

Przeciągnął się i wstał a potem spojrzał w szczelinę uchylonego balkonu, wciągając powietrze pachnące świeżo skoszoną moką trawą. Chwilę śledził wzrokiem chłopaka pchającego wyłączoną kosiarkę potem spoglądał na czubek wieży kościoła świętej Petroneli osmalonej w niedawnym pożarze i zobaczył wielkie, siwe ptaki kołujące ponad dachami a wyżej smugę kondensacyjną za samolotem, która układała się w kształt damskich majtek. Uda. Nagość. Wzgórek. Tak. Lepka i rozwarta. Taaak... Przełknął ślinę. Naga, lepka, rozwarta pizda *pokazać ci? Chcesz? Patrz!* Podniósł głowę, z zaciekawieniem patrząc na sufit, nasłuchuje szurania butów, stłumionych rozmów. Z tatusiem? Lolita z Ironsem. Tamta scena z Ironsem i... Z Ironsem i? No, cholera... No ten stary tłusty pedofil, Clare Quilty biegnący amfiladą goły w rozwianym szlafroku, Langella? Tak, Frank Langella. Te ujęcia w których biegnie przez korytarze, przez amfiladowe pokoje a kutas mu raz na prawo, raz na lewo i on jak tłusty faun, stary satyr, rozwiane poły szlafroka a za nim Irons z gnatem a potem Langella przy fortepianie i ta jego gra: muzyką odsunąć śmierć, zaczarować nią kule, zatrzymać nieuniknione. Patos, niebotyczny patos a Irons strzela trach: raz! Trach: dwa! Trach: trzy! Trach trach trach! Krew i śmierć. Wina i kara. Boże, co za scena! Panie, jaki trzeba mieć łeb, żeby... Z którego...? Dziewięćdziesiąty piąty? Szósty? Siódmy? Chyba szósty. Adrian Lyne. No a scenariusz tego, jak mu tam... Tak... Lolita. *Światło mego życia. Ogień moich łędźwi. Mój grzech. Dusza moja. Lo-li-ta. Koniuszek języka schodzący w trzech krokach podniebienne, aby na trzy wystukać o zęby lo.li.ta. Była Lo. Po prostu Lo. Rano stała w jednej skarpetce, metr czterdzieści osiem wzrostu. W spodniach-rybaczkach, Lola. A w szkole mówili na nią Dolly. Na kropkowanej linii w ankietach wpisywała Dolores. Ale w moich ramionach zawsze i nieodmiennie Lolita.* Coś w tym stylu. A co napisał Humbert na tej kartce którą pokazał Qualityemu w jego rezydencji nim go zastrzelił? Zaraz zaraz, momencik, mam na czubeczku myśli. O

kiedy nagi stałem, jak mnie pan Bóg stworzył
w obliczu federalnego prawa i wszystkich jego
gwiazd żądających

O, coś w tym stylu. Dostał *Oskara* czy nie? A, potem sprawdzę. Dobry Boże, Stella! Gna do pokoju, chwytła słuchawkę wykręcając w pośpiechu numer wydawnictwa.

Z radia nad bufetem płynie Strawiński. O, Strawiński... Strawińskiego to ja lubię nawet kiedy szczękają gary a między stoliczkami stukają pukają obcasiki kelnerki stuku-puku a *patron* poleruje bufet wypolerowany jak stary poler. U nich to nerwowe jak tik. Resztką bułki wyciera resztkę beszamelu uff najadałem się uff... Patrzy na zegarek. No i gdzie ta Stella? Pewnie nie przyjdzie. Znowu wymyśli jakieś niestworzone usprawiedliwienie. I jak tu można pracować?

Sączy wino patrząc w morskozielone oczy dziewczyny w złotych szpilkach i drogim futrze z cywet. Modelka? Może. A może dziwka. E, raczej modelka. Albo znudzona młoda żona starego bogatego pryka. Dziewczyna jak marzenie. Leniwie senna, nieobecna odaliska. Ingres. Albo Delacroix. Tureckie kobierce, pejzaże o zachodzie, Bachczysaraj, perliste fontanny, pawie pióra, na ścianach cienie milczących eunuchów w szarawarach, turbanach, z krzywymi szablami. Zapach wodorostów od Bosforu, skrzyp i plusk za ażurami okien. Pamiętam, jasne że pamiętam! Dusząca woń nardu Aleksandry, jej luksusowe piżmo, jej usta lukrowane sezamem i cynamonową chałwą naszeptujące między pocałunkami *Oooooorieeeeent....*

A Cyweta? Co wieczór panamężowe, jałowe starcze pożądania *jedy-yyy-aaaaa...* W każdej żrenicy jej, bryłka jadeitu i nie jest to żadna tania metafora, o nie! Nieczęsto oczy aż tak zielone. Straszna profanacja takie oczy w takim bistro, myśli sobie, a teraz te oczy patrzą raz na niego, raz na świat za szybą, rzadziej w makaron z szarym cebulowym sosem. Co ona robi w takim miejscu? Znudzona szampanem, kawiozem i ostrzygami? Może. A może powrót do korzeni? Była jakaś wioska w Normandii czy Bretanii z której polnymi ścieżkami pośród skał i kóz wędrowała do szkoły w obskurnym baraku, ubrana jak Murzynka w sukienkę z perkaliku i szmaciane pepegi? Może była. A po lekcjach w pobliskim lasku albo w sekretnej ziemiance nad rzeczką z chłopakami paliła fajki, sącząc świeży cydr wykradziony rodzicom i pozwalała całować się, obnażać i pieprzyć? Może. A może nie było wioski wśród gór tylko zakurzone suburbia? Jakaś dzielnica robotnicza, odrapana, brudna, zatęchła kamienica z zasmrodzonymi kiblami na półpiętrach. Brzmi nieźle a więc niech się stanie: była jakaś kamienica. Dziewczynki grają w klasy, popychając ułomek dachówki czubkami brudnych tenisówek, gumowych japonek, bosymi stopami albo grają w gumę, podrygują nad skakankami, gotują zupy z piasku, przewijając lalki. A chłopcy? Chłopcy jak to chłopcy, onanizują się, strzelają z procy do kotów, marzą o wyspach skarbów, uzupełniając edukację podglądają siostry i matki w kąpielni, kopulujących rodziców. Kiedy podrosną, zaczną knuć zbrodnie.

Więc z radia nad bufetem płynie Strawiński. Jadeitowe oczy nieruchomieją jakby zatrzymały się w poszukiwaniu brakującego do krzyżówki słowa, na przykład paralaksa. Albo rudymet. Albo dychotomiczny. A może myśli o kochanku? Kto to może być? Powiedzmy, że jakiś Artur. Nie, Artur nie, bardziej z włoska, Arturo. Jak Toscanini *lalla-llaaaaa*? Don Giovanni, K 527

LEPORELLO:

*Rest I've none by night or day,
Scanty fare and doubtful pay*

Wykwintnie i światowo. Dodam złote spinki, krochmalone mankiety, zimowe szaleństwa w Madonna di Campiglio. Versace, krwistoczerwone *lamborghini*, kwiciaste bonżurki, jedwabny pedalski fular i laseczka ze srebrną gałką. I wąsik

mafioso. Co dalej? Ano, powiedzmy że ten Arturo ma galerię sztuki gdzieś w centrum i jest gejem sypiącym z projektantem mody, powiedzmy Giorgio. Albo Sebastiano, powiedzmy. A ponieważ sypia z Giorgio-Sebastiano, więc Cyweta jest nieszczęśliwa chociaż sama jest lesbijką. Albo nie, nie jest lesbijką tylko biseksualistką. Eksperymentatorką. A może wcale nie myśli o Arturo który rzucił ją dla kochanka? Więc o czym myśli? O swoim ostatnim nabytku? O tym długim, grubym i czarnym jak penis Negra elektrycznym wibratorze z najwyższej jakości silikonu, zakupionym w ekskluzywnym i dyskretnym hotelowym sex-shope przy ulicy Fontaine, o którym we wszystkich przewodnikach informują, że *sex shop was located right next door and homeless person took up residence right by the entrance of the hotel*. Może. Jak napisali w instrukcji? *Un magnifique sexe d'étalon noir... Longueur 24 centimètre; diamètre 6 centimètre*. I może zaspokoić krowę, ale tego już nie napisali. A co jeszcze? Na przykład to, że zakupu dokonała osobiście na osobistą prośbę osobistego męża, starego pana z indyckim czerwonym podgardlem, przerostem prostaty i wieloletnim brakiem wzwodu, pod cowieczornym sztandarem

- Cherie, z próżnego i Salomon nie należy!

I długo skrywany, wyconcypowany, pozornie niedbale pobłażliwie życzliwie wyrozumiałym, że

- Przecież nie możesz przeze mnie cierpieć, kochanie!

A także szarmanckim zapewnieniem, że on osobiście nie będzie mieć nic a nic przeciwko temu, jeżeli ona zechce sobie znaleźć jakiegoś przyzwoitego miłego chłopca pod tytułem *Wiesz-Do-Czego...* Mówiąc to gładzi jej podbrzusze, wyprężone i daremnie wyczekujące niemożliwego.

- Jakiego chłopca? Pyta Cyweta, z nadzieją rozwierając uda, unosząc pośladki, czując jak nagle zasycha jej w ustach na widok obrazów od których zawirowało jej w głowie.

- No wiesz, kochanie... Chłopca. Miłego, dobrze wychowanego i dyskretnego. Oczywiście tylko wtedy, jeżeli sama uznasz to za dobre rozwiązanie. Nie tylko nie mam nic przeciw temu kochanie, ale jeśli pozwolisz kochanie, to od czasu do czasu, oczywiście dys-kret-nie, chętnie na was oboje popatrzę.

Aaa, więc o to mu chodzi? Chętnie popatrzy jak ona chętnie to robi. A cóż za dyskretna, chętna, stara, wyuzdana świnią! Ale ona już *Oooooooooo* bardzo chętnie myśli o tym. *Oooooooooo baaaardzo* chętnie o tym myśli sobie ona a on wie że ona teraz bardzo, bardzo chętnie o tym sobie myśli i de-li-kat-nie wkłada w nią te swoje dwa z dziesięciu artretycznych palców, jeden wskazujący i jeden środkowy i widzi w jej szeroko bardzo chętnie rozwartych oczach chętnie twarze bardzo młodych mężczyzn, chętnie dających jej to czego on jej nie bardzo może dać. A ona? A ona już wyławia z notesu pamięci wszystkich kiedykolwiek poznanych facetów, ich adresy, numery telefonów, kolory włosów, oczu, grubość i długość członków, zmienną wielkość ich jąder a także krzepkość mięśni pośladków. Jutro? Jutro. Natychmiast, jutro z samego rana! A na dzisiejszą noc niecierpliwości jeszcze wystarczy jej ten gruby afrokształtny chuj z czarnego silikonu, kaseta z pornograficznym filmem i starczy, zapłynięty wzrok ponad złożonymi oprawkami.

Strawiński ponad spaghetti z szarym cebulowym sosem *a la bolognese*. Cyweta się zastanawia

- Czy dobrze schowałam? Weronika nie znajdzie?

Kim będzie Weronika? Efemeryczną przyjaciółką z jakiegoś queer-clubu? Wysoką, nabitą testosteronem krótkowłosą lesbijką o posturze enerdowskiej pływaczki czy delikatną jak pajęczyna, wiotką blondyneczką o twarzy upadłej dziewczicy z tych niewinnych wyuzdanych ośmioletnich Alicji Z Krainy Już Będę Grzeczna, Tatusiu? A może dla niejkiej odmiany uczynimy ją smukłą, cycatą i szeroką w dupie polską pszeniczno-blond emigrantką do wszystkiego? Taką, co to ugotuje, upierze, zakupi,

wyczyści, pozamiata i zmyje a przy tym po francusku ani w ząb? Do tego bogobojna aż strach się bać, *Maryjo, Królooowooo Poolskiiii* i która za niewielką dopłatą bardzo chętnie usztyni starszemu panu jego uwiad albo wsadzi młodej pani język nie tylko w pizdę ale wszędzie tam gdzie młoda pani sobie zażyczy. Na przykład w dupę? Na przykład w dupę, avec plaisir, psze panienki, piniondz to piniondz a co mi tam!

Więc tak sobie rozmyśla o różnościach i widzi rozmaite obrazeczki, bo wszystko może sobie wymyślić i wyobrazić kiedy tak na nią patrzy. A wszystko może sobie wymyślić i wyobrazić albo korygując prawdę oblepić nowymi obrazami bo jest Profesorem Antônio Dasmortas, tym samym, który 11 lipca 1881 na trójmasztowcu *Holender* przepłynął Atlantyk z Manchesteru do Cidade da Barra i kupił część tej starej kamienicy przy Avenida Rio Branco.

- Który to budynek?

- Tamten, Señor Antônio, ten obok parku. O, ten zarośnięty aż po dach chińskim powojem o kwiatach pachnących ametystami i krwią, widzi pan?

- Tamten?

- Si, Señor Antônio, tamten.

No, tak czy siak, takie właśnie napływają go teraz syte sennie rozmaitości jak ta historia, kiedy w pokoiku nad barem przez miesiąc żył za trzysta franków z jedną taką, z którą pluli do Sekwany i do Rodanu pluli i puszczały papierowe łódeczki i pisali na nich świńskie wyrazy i rysowali obsceniczne rysunki nie pomni, że kto by niewinne dzieteczki zgorszył, mnie uczynił. Czy jakoś tak. Ona sobie kuciała nad brzegiem Rodanu w spódniczce i jak zwykle bez majtek czyniła Jemu, bo czyniła dzieteczkom licznie tam obecnym i nawet nie zdawała sobie sprawy. A może sobie zdawała? A może. A zupa cebulowa kiedy ją gotowała na samej cebuli i soli? Albo jak grała w karty, przegrywając pierścione z rybiego kręgu i złoty łańcuszek z kostki u nogi? Panie święty! Tak...

Jakoś tak właśnie napływają go syte sennie rozmaitości. On wie że może sobie wszystko wymyślić, bo jest w tym bistro jedynym człowiekiem o którym można powiedzieć z niezachwianą pewnością, że ma oczy jaguara, dłonie czarownika a w jego żyłach płynie Sangre De Drago. Cokolwiek to oznaczało.

Jadeitowe oczy nieruchomieją. Cyweta spogląda na niego z zainteresowaniem a potem błysk w jej oczach gaśnie, wstaje, płaci i zmierza w kierunku wyjścia.

- Do zobaczenia, Jeanne! Krzyczy za nią barman a w nim coś krzyczy: *Pośpiesz się, do cholery! Szybko! Idź za nią!*

Stella i tak nie przyjdzie, więc wstaje, płaci, wychodzi pospiesznie. Szybko! Idź za nią! Będzie szedł za kobietą-cywetą (nawiasem mówiąc, dobry pomysł na tytuł książki albo filmu, powiedzmy taniego horroru) dopóki ona nie wejdzie do jakiegoś domu albo dopóki się nie zgubi w tłumie albo dopóki jemu nie znudzi się zabawa w detektywa Marlowe z kryminalów Chandlera, bo wtedy znudzony tropieniem cywetokształtnej laleczki z jadeitowymi oczyma, siądzie na ławce obok granitowego pomnika jakiegoś kogoś przy szabli i z medalami (prawdziwy syn i duma Francji, panie!), popatrzy na biegające rozwrzeszczane dzieci, na kobiety rozleniwione słońcem jak patagońskie uchatki, pchające wózki, jedzące zimne lody, gorące frytki.

- Witaj, Jeanne!

- Jean-Marc? Witaj!

Niespodziewanie dla niego Kobieta-Cyweta zatrzymuje się i niespodziewanie dla niego namiętnie całuje w usta wysokiego rudzielca w nieświeżej, zmiętoszonej wojskowej kurtce moro. Wsiada z nim do rdzewiejącego, brudnego jak świnia dzipa a kiedy go mijają, Cyweta rzuca mu (widziałem! widziałem!) solidnie zachęcające spojrzenie, przeciągle *Chceeeeszszsz?* Prowokujące *Ty! Pokazać ci?* Wyzywające, połyskliwe kurewstwo w każdej z jadeitowych źrenic jej *Wsadź mi!* Diablica! Uśmiechnięta obietnica poranka, że wprowadzie nie dzisiaj ale kto wie, może jutro proszę pana, przy

Strawińskim *a la bolognese* na futerku przed kominkiem *Ojej?* Jeśli tylko będziesz lepszy, niż mój nowy zakup *Un magnifique sexe d'étalon Noir*.

No zaraz zaraz, myśli, Jean-Marc? Skąd się tam wziął ten cały Jean-Marc? Przecież kochanka miała sobie wziąć dopiero jutro. Zaraz zaraz, a może moje dziś to jej wczorajsze jutro? Może. Tak, na pewno tak. W każdym bądź razie nada się doskonale na kochankę dla mojego bohatera.

Zawraca i po piętnastu minutach leniwego spaceru wchodzi do bistro

- Gaston, przyjacielu. Duża wódka!

BERBERZYŃSCY BERBERZY

Wchodzi na klatkę schodową wpływając niczym transatlantyk między fale wszechobecnego zapachu baraniny gotowanej z kapustą, cebulą i czosnkiem, doprawionej jęczącą orientálną muzyką i dusznym smakiem panarabskiego kuskusa

- Och, ten pieprzony Berber!

Wspina się po schodach jak lizka wspina się po gałęzce, systematycznie podciągając prawe ramię chwytem za poręcz (dajcie mi punkt podparcia!), wyginając plecy, podciągając za zmęczonymi stopami najedzony *a la bolognese* ocieżały korpus, w żółwym tempie stawiając stopy na zniszczonych drewnianych schodach.

- Pieprzony Berber. Ale miły facet, mile myśli o miłym facecie Rashidzie, tym pieprzonym berberzyńskim Berberze z drugiego piętra i jego tłustej, brzuchatej żonie z buklakami cyców przelewających się bulgotliwie pod lśniącym granatową czernią hidżabem, otoczonych wrzaskliwą gromadką pyzatyh przepięknych namolnych dzieciaków pod tytułem

- Ma pan cukierka?

Ma życie ten Rashid! Rozklekotana bagażówka, co poranny ładunek: kapucha, selery, kalafiory, pomidory, pory, brokuły, patisony i w trasę. Rozładowanie: kapucha, selery, kalafiory, pomidory, pory, brokuły, patisony i w trasę. A wieczorem powitanie czule jak sezamowa chałwa oblana karmelem

- A witaj najdroższy mężu!

A jej mąż najdroższy:

- A witaj! Co też dziś mamy na obiad ukochana żono?

A jego ukochana żona:

- A zgadnij.

A mąż jej najdroższy:

- A nie mam pojęcia.

A ukochana żona jego wnosząc półmich baraniny pachnący koźliną:

- A baranina!

A mąż jej siadający do jej półmicha baraniny z kapuchą:

- Baranina?

A jego żona płaska w tłuste łapki:

- A baranina!

A mąż jej klepiąc poduszki pośladków jej:

- A to ci piękna niespodzianka, najdroższa!

A nocą jego un magnifique sexe d'étalon beige w odcieniu włoskiego orzecha, jego obrzezany bakłazan longueur 24 centimètre; diamètre 6 centimètre porusza się w niej ruchem posuwistym i ssąco-tłoczącym a pod nim jej dwa buklaki i pod nim egipskie pylony jej ud szeroko rozwarte jak ościeżna brama do Krainy Zmarłych. Szarpiąc jego włosy spazmatycznie dysząc gęga mu w ucho

Chwała tobie wielki Boże,
Panie Obu Prawd!
Przybyłam do ciebie, aby oglądać bogów,
Aby oglądać piękność twoją!

On na niej czy ona na nim? Oczywiście że on na niej, ich kultura: pan i władca. Ona na nim? Wykluczone! Poza tym zmiażdżyłaby go bez dwu zdań. Rano cmok-cmok w zaspane oczka, szybciutka ablucja, dywanik, głowa do Mekki i Allahu al Akhbar a potem szybkie śniadanko; ocieżałym, zasnętym truchtem po schodach i: kapucha, selery, kalafiory, pomidory, pory, brokuły, patisony i w trasę. Do dupy takie życie ale czy ma wybór? A niby do czego mieliby wracać? Piaski, piaski, piaski... Ropa nie dla

wszystkich, trzeba być szejkiem, żeby. Większość to bida z nędzą. Jak u nas. Niechętnie rozmawiają, nieufni. Uprzejmi bardzo ale nieufni. Rozumiem, chcą ocalić swój styl życia przed naszym stylem życia. Ale dlaczego muszą go ocalać u nas a nie tam, u siebie między palmami na tych piaszczystych bazarach, gdzie muchy krążą nad ścierwami ćwiartowanych owiec, kóz i wielbłądów? Krwawe piaski, Allahu al Akhbar... Mówią że chcą ocalić swój styl życia przed naszym stylem życia, że chronią swoją kulturę przed naszą i swoją cywilizację przed naszą cywilizacją. Ale kiedy w szmatach na głowach okutani szlafrokami strzelają do nas z karabinów, to strzelają z karabinów stworzonych przez naszą cywilizację. No tak, ale w końcu z czegoś nas muszą zabijać a jak do tej pory nic swojego jeszcze nie wymyślili, biedacy. Mogliby wrócić? A niby gdzie, po co? Piaski... Jedyna ich pociecha na stare lata, to te dzieciaki. Ostatnio ta jego najstarsza za dużo z chłopakami po bramach... Hormony! A wypina te cycki! I coraz krócej się nosi o, choćby na czternastego lipca jak wchodziła po schodach, widziałem jej goły tyłek. Ooo, już ona dobrze wiedziała że widzę. Biedny Rashid, zatłukłby ją gdyby się dowiedział że ja, niewierny, widziałem goły tyłek jego wiernej niewiernej córki. Kto wie, może i mnie by zatłukł. No ale nie wie. I pomyśleć że chłopina zaharowuje się na śmierć tylko po to, żeby ją było stać na nie noszenie majtek. *Geef het aan mij?* Jasne! A co, może nie? Pomidory, pory, brokuły, patisony, cukinie, melony i trasa. Pracuj, pracuj Rashid a garb ci sam wyrośnie jak dromaderowi. I codziennie ta zgniłozielona, śmierdząca gnijącymi liśćmi kapusty i kalafiorów bagażówka i buklaki cyców bulgoczące każdej nocy pod ocalonym od naszego stylu życia czarnolśniącym nocą hidżabem księżycy. I jej niqāb otulający ich nieżyźne piaski ocalone przed nami, którzy ich nie pożądamy dla nich, którzy tam nigdy nie wrócą. Ładne zdanie. Zapisać. Zapamiętam nim zapomnę? Ale tam, zapomnę że mam zapisać żeby nie zapomnieć, trudno. Ten Rashid musi ją kochać, biedaczysko! Dzieci kocha a ją musi. A ma inne wyjście? A może po prostu kocha? A co ja tam wiem? Gównu wiem.

Doszedł.

- Allahu al Akhbar!

Cieężko oddychając wycierał buty nader starannie i nader dokładnie, kilkanaście razy szorując podeszwami o szalową wycieraczkę. Z westchnieniem eeeeeehhhh zmęczonej ulgi uuuuffff otwiera odrapane skrzyyyyyypiące drzwi mieszkania i znowu pomyślał o Dante: *Dante...* Zamknął odrapane skrzyyyyyypiące drzwi odcinając odór gotowanej baraniny fuj! Zdejmuje buty, chowa je do szafki, płaszcz wiesza do szafy i myśli sobie że zaraz sobie poczyta gazetę a potem sikając w kiblu patrzy do lustra i widzi siebie patrzącego na tamtego siebie, który też się odlewa i sikając patrzy na niego ze swojej strony lustra myśląc o jego Dante i przez tamto, w po-swojej-stronie-lustra, no to swoje nie-swoje okno widzi okna sąsiedniej kamienicy tuż tuż na wyciągnięcie ręki. Tylko parę kroków, z osiem, dziesięć? Najwyżej. Co Alicja widzi po drugiej stronie? Trzy topole pomiędzy i wychyloną siwą głowę co to nie widziała chłopca. I jak tamci jedzą, kłócą się, biją, kochają, kąpią i piorą. To zobaczyła? A czemu nie? I korniszona wujcia Karolka. Czy oni mnie widzą? Tak, prawo optyki: jak ty nas, to my ciebie. No bo i kto to wymyślił takie wielkie okno w kiblu że nawet w kiblu nie ma spokoju? Trzeba wreszcie kupić jakąś zasłonkę. Na pchlim? Poprosić Teresę żeby uszyła. Albo Adeline. Albo zamalować. A może takie kolorowe szybki witrażowe jak na klatce schodowej? Byłoby jak w katedrze, tylko zapalić świeczki i. Cholerna świeczka! Mogłem pójść i oddać jak człowiek a tak... *Wiara czyni cuda, panie*. Tak, wiara czyni... A co czyni niewiara?

Leży na łóżku bo może poogląda telewizję ale jego myśli myślą o jadeitowych oczach z bistro i jakby to było, gdyby tu leżała teraz obok niego. No jasne że naga z tymi eleganckimi nogami rozłożonymi elegancko na linii Wschód-Zachód i jadeitowymi oczyma pełnymi inkaskich masek, kocica: mrr-rrrrr... że oooooooo, cudownie by było cholera i patrzy na drzwi jakby za chwilę wpuścić miały tamte szpilki i futro zdarte z grzbietów cywet. Na pewno mruczy: mrrrrrr. Krwistoczerwone pazurki. No a pod spodem nic a nic, tylko czysty, subtelny, wyrafinowany seks. I ten cieniutki łańcuszek na kostce. Lubię to, podnieca mnie to. I zapach sandałowca. I żadnych włosów ani tam ani tam, śliska rozwarta lepkość obietnicy poranka. Kto wie, może?

Przysypia wpływając sennie między sennolepkie myśli, kobieta-cyweta, kocica mrr-rrrrr... Przysypia mrrrrrrr wpływając sennie między sennie ławice myśli leniwie sennie ciepło przypomina sobie Dagny nadzianą na jego spęczniały rożen w tamtym szwajcarskim hotelu pachniało szampanem i spermą a był Sylwester 1989 a może 1988? Może. Robili sobie świńskie fotki żeby uwiecznić szaleństwo i pożądanie a jej stary fotografował dla *New York Timesa* jakichś partyzantów gdzieś tam w Ameryce Południowej i świętował z indiańską dziewczyną o czym jej powiedział składając życzenia *Happy new year, Darling!* wtedy on ni stąd ni zowąd pomyślał o arnice, dziewięcile, Kasjuszu Herea, limbach, partyzantach, salamandra, Mistekach, Toltekach, Olmekach, Zapotekach, Inkach i Majach i mówi jej o tym, opowiada jej o tych misteko-toltekach a ta raptem hop-siup staje nago na parapecie na tle Alp i w potokach wschodzącego noworocznego słońca.

- Pstryknij mnie! Zażądała więc pstryknął a z dziedzińca rozległy się chóralne brawa i gwizdy podziwu świętujących Szczęśliwego Nowego Roku pijanych turystów no a zaraz potem zrobiła nam to pornograficzne zdjęcie siedząc na mnie okrakiem. A jak nago szła hotelowym korytarzem? Jezu! Idzie kołysząc cyckami a tu z windy wychodzi dziewczynka maciupka jak krasnalek z taką samą maciupką mamusią i rozszczekaną maciupką psinką

- Ojej mamusiu! Ta pani jest goła!

A ona ze śmiechem wbiega do pokoju

- Pstryknąłeś?

- Jasne że pstryknąłem!

Miała dziewczyna fantazję. Tak, w tej strasznej katastrofie lotniczej...

Leży w bezruchu, tonąc w lepkich warstwach wspomnień i tylko się nie ruszaj! prosi go Caroline wtedy tam w hotelu tylko się teraz nie ruszaj, błagam! błaga go błagalnie Caroline szorując łechtaczką po jego wzgórek łonowym, więc czuje że pęka i wytryskuje w jej wnętrze wąską białą stróżką mleka, która gdzieś tak około roku 1660 zastygła na wieki w locie do srebrnego dzbanka na obrazie Vermeera van Delft Mleczarka. Albo Nalewająca Mleko a wtedy Caroline wybucha płaczem i krzyczy chrypliwe okhrhrhrkrhhh! i zaraz eksploduje bo zabrakło jej jednej małej sekundki och, ty cholerny głupi chuju! a później śpiewała z radiem A la la la la long tego w dredach, Marleya, tak... Kobieta-Cyweta. Jak jej? Jeanne. Tak, Kubrick na podstawie Dante Nabokova Lolita z tą jak jej było? Cholera... No jak jej było? Aha, Hiver. Nie, nie Hiver, Winters a podobno nasze sny są myślami Boga a ciało zanurzone traci a kąt padania się równa i podobno pianola dziś zasłyszana może wyzwolić obrazki z dzieciństwa pajacyki, bębni, ilustrowane książeczki, smak tranu, zapach perfum matki, jej majtki. pytanie Co Alicja Ma Pod Sukienką? urodzone między jej przykucniętymi szeroko rozstawionymi nogami nad stawem dzieciństwa kiedy puszczałyśmy łódki z papieru i skowytał płaczliwie mały czarno-biały szczeniaczek. Pianola? Pokazać ci? Chcesz? Patrz! O, patrz! Taaak... A la la la la long. Wąska stróżka mleka która gdzieś około 1660 roku zastygła na wieki w locie do srebrnego dzbanka rudej Melkmeid Mistra Vermeera Mleczarka albo nie Mleczarka tylko Dziewczyzna zzzzzzzzzzzzzzzzzzz....

Żuje gumę balonową i przebierając nogami zebrze

- Musiałam cię zobaczyć, Antônio! O, Antônio, wpuść mnie!

- Zobaczyć mnie? Jezu, dziecko, przecież ty mnie wcale nie znasz! szepce zaskoczony i szepce podniecony i mówi spieszenie

- Nawet nie wiem kim jesteś!

- Jak to nie wiesz? Ty nie wiesz? Ty, Antônio? Prawie krzyczy zrozpaczona. No przecież to ja, twoja mała señorita Dante! Dante Gonçalves z Cidade da Barra a ty jesteś mój o utrac-o-o-o-o-ny! Antônio Dasmortas oczy jaguara, dłonie czarownika pamiętasz? Napisałeś o tym na maszynie, pamiętasz? Sangre de Drago!

A ten rozgląda się na boki jak jakiś pieprzony zboczeniec patrząc, nasłuchując, myśląc sobie czy sąsiedzi nie widzą, nie słyszą, nie pomyślą sobie czego

41

- Co ma znaczyć *to niemożliwe*, Antônio? Co jest *niemożliwe*? Dobry Boże, Antônio, co się z tobą stało? Co się stało z twoją doskonałą pamięcią? To ja samotnie pokonałam dżunglę, spieniony ocean pełen głębinowych monstrów i specjalnie dla ciebie wprowadziłam się tam (podrzuca głową) pod szesnastkę, z tatusem wierząc święcie że kto we mnie wierzy żyć będzie wiecznie, świeczka, pamiętasz? najlepsza do brandzlowania a ty...

- Na rany Pańskie, przecież twój ojciec nie żyje. Przecież powiesił się na palmie kiedy oszalał z rozpaczy po śmierci Eufemii, twojej drogiej matki, napisałem to.

- Och nie, Antônio, zapewniam cię że on tam jest, pod szesnastką. To hamleci duch mego ojca który odszedł w kwiecie swych grzechów lecz sprawuje pieczę nad mą cielesnością bym szła i nie grzeszyła więcej a przecież do Raju wejść może tylko przez moje szeroko rozwarte wrota!

Słuchaj!
O, słuchaj...

A ten słucha tych nawiedzonych bzdur i jeszcze zaprasza żeby weszła.

- Wejdz do środka, mówi ten idiota i wpuszcza ją do mieszkania, choć na myśl o tym że naprawdę przybyła do niego z Cidade da Barra i że jest naprawdę tą jego wymyśloną, napisaną na maszynie señoritą Dante Gonçalves kręci mu się w oczadziałej snem głowie... No, mniejsza. Szeleszcząc żałobnymi koronkami minispódniczki, ta mała kurewka z twarzyczką pandy i ustami wysmarowanymi krwistą szminką wchodzi do przedsionka jego pałacu rozłożonego u stóp gór Ida. Jak królową prowadzi ją do komnat obszernych, gdzie ta wywłoka siada na tronie z białego piaskowca, drogocennej pamiątce po jego świętobliwej nieodżałowanej pamięci nieboszczce-matce Mirelle jak Mirelle Mathieu. Sam przycupnął na trójnogu złożonym na wprost niej, tuż pod oknem prowadzącym na ganek napowietrzny, wiecznie obesrany przez parchate zaświerzbione gołębie i czuje jak mu staje ale to ze zmęczenia i z tej senności, myśli. Słyszy szum krwi w uszach (ciśnienie 160 na 220 albo ho ho, dużo więcej) i tam gdzie kończą się jej getry, tam między szczodrze dla niego rozchylonymi nogami w stronę Persji jedna, w stronę Germanii druga, może i nieletniej ale o jakże cudownie wyuzdanej zdziwy więc tam oto widzi alabastrową, nagą skórę gładkich, rybiobiałych ud a dwudzwon kościołów dwojga wielkich świętych Józefa i Elżbiety, opok przenajświętszej Matki naszej, Kościoła wykrzykuje spiżowe

Hej! Widzisz?
Ho! Chciałbyś?

Czy chciałbym? Czy ja chciałbym? Ooo, myśli, ooooooooo chciałbym ja! Ooo, chciałbymbardzo ja, myśli a kto by nie chciał, no? A wtedy ten nieletni kurwison podnosi z fotela okrągły jędrny wypięty jak anatolijski melon tyłek i

jak zawodowa striptizerka obnaża się przed nim powolutku, pomalutku, bez pośpiechu aż mu staje i staje przed nim nagusieńka jak ją Pan Bóg stworzył i kołysze biodrami raz w praaaaawo, raz w leeeeeewo, raz w praaaaawo i w leeeeeewo i w przóóóóóód i w tyyyyyyył i w przóóóóóód i w tyyyyyyył i hipnotyzuje go jak jararaca, tuląc pluszowego misia do spiczastych cycków szczennej suki, takich z fioletowymi wielkimi jak spodki brodawkami. A prężę się, a wygina? Oochaaaaantôônioooooo! blekotliwie sący śmiercionośne krople do jego ucha, wtykając diabelskie widły języka w sam środek jego mózgu, ta bezwstydną napaloną małą sukoźmija i Oochaaaaantôônioooooo! przypłynęłam za tobą brygantyną *Mary Celeste* pełną widm, zaginionych pragnień i pytań bez odpowiedzi. Byłam ci tytanicznie wierna powiada, choć, powiada, kapitan Benjamin Spooner Briggs, płowooki jebaka o twardym bukszprycie, przez cały rejs nakłaniał mnie żebym tam, między antałkami z wodą legła na uwędzonych linach i straciła z nim o, utracone me dziewictwo! Utracone z tobą, Antônio!

I chlipie, dziwka wszeteczna

- Oochaaaaantôônioooooo! Miałeś akademię sztuk pięknych przy Avenida Rio Branco, tuż obok parku miejskiego, w tym budynku porośniętym chińskim powojem o kwiatach pachnących ametystami i krwią. Przyjąłeś mnie na pierwszy rok, powiada, i natychmiast omamiłeś dotykając moich piersi o, tych tutaj, mówiąc

Piersi twe jak dwoje kózłat,
Bliźniąt gazeli,
Co pasą się pośród lilii

a potem położyłeś na futerku przed kominkiem w którym napaliłeś szczodrze węglem kamiennym pierwszego gatunku i rozdziałeś mnie z sukienek, ukazując światu moje bladoróżowe dziecięce figi w krwisto-czerwone serduszka. Kiedy w Krainie Czarów obdarzyłam cię pierwszym w moim życiu pocałunkiem z języczkiem, Karolku, miałam osiem lat. Osiem? Może trzynastcie a może czternaście, mniejsza o wiek! Obnażyłeś mnie i za zgodą moich rodziców i moich czcigodnych krewnych delektowałeś się moim kwiatuszkiem, wpychając między jego wilgotne płatki swój szatański jęzor, cuchnący sangre de drago, zboczeńcu! Obiecywałeś mi zaspokojenie roznieconego przez ciebie piekielnego ognia mojego podbrzusza i żaru ud, które od tamtej chwili rozwierałam dla ciebie szczodrze, a ty owej nocy gdy zapłakał kwezał zniknąłeś bez jednego słowa, potworze! Gadzie! Minotaurze! Na zardzewiałym gwoździu w sraczu zostawiłeś mi gównianą kartkę z wezwaniem

*Z Libanu przyjdź, oblubienico,
Z Libanu przyjdź i zbliż się!*

Przeczytałam i oto jestem, przybyłam jak żądałeś, ty monstrum zbydlęcone! Musiałam cię odnaleźć, onanisto, bo nastał czas zrywania soczystych rozwartych brzoskwiń i nawet kameleony porzuciły mroczną strefę

doskonałego bezruchu. A tamto to był hormon, nie feromon, durniu! Czy pisałeś do mnie w sekretnych listach że spotkamy się, gdy tylko kwiaty zapachną ametystami i krwią i słysząc będzie płacz samotnych kobiet? Tak, knurze, tak do mnie pisałeś! I pisałeś jeszcze, że możesz wszystko stworzyć, bo jesteś jedynym człowiekiem w niezmiernym imperium twoich snów o którym można powiedzieć z niezachwianą pewnością, że ma oczy jaguara, dłonie czarownika a w jego żyłach płynie Sangre De Drago, cokolwiek to miało znaczyć, of course...

Z chichoczącym szlochem ociera oczy wierzchem dłoni a na jej karku wyrasta grzywa hieny.

- Już będę grzeczna, ty stara lubieżna tatuświnio! Obiecywałeś mi Kosmos? Obiecywałeś! A tamtej nocy kwezala porzuciłeś mnie rozdętą jak balon od twojego nasienia w mieszkaniu nad warsztatem zegarmistrza, jubilera czy grawera, alfonsa i masona i zagrział spiżowy dwudzwon dwukościołów Józefa i Elżbiety

HEJ! WIDZISZ?
HO! CHCIAŁBYŚ?

A choć mieszkanko moje było małe, to o jakże schludne było! Wiem, na początek niewiele ale zawsze coś, no nie? To tam z językiem między moimi udami kiedy ociekałam jak nieszczelny kran obok zezowatej lalki obiecałeś mi wyjawic kunszt wyuzdania kobiet-cywet o jadeitowych oczach, mówiąc że będę jak Frida Kalho rzucać mężczyznom i kobietom spojrzenia zachęcająco prowokujące a połyskliwe kurewstwo wyzierać będzie z moich źrenic, pamiętasz? A pamiętasz uliczną obietnicę poranka? Tak, tamtą poranną obietnicę ulicznicy, że wprawdzie nie dzisiaj, ale kto wie, może jutro proszę pana. No? Wtedy, przy Strawińskim nad spaghetti *a la bolognese* albo na futerku przy kominku *ovej, proszę pana*. Oczywiście, tylko pod jednym warunkiem, że będziesz mój mały Antônio lepszy niż mój nabytek, ten rozkoszny, afrokształtny un magnifique sexe d'étalon chuj (longueur 34 centimètre; diamètre 10 centimètre) w smakowicie lubieżnych barwach afrykańskiej *Black Noir*, potwornej żylastej bestii Zulu czy Bantu złaknionej smaku świeżego mięska mojej niewinnie rozwartej, pizdoelektrycznej zapalniczki a którym można by zaruchać na śmierć słońce, gdyby była głucha i dała się zaskoczyć od tyłu. No? Jesteś od niego lepszy? Wyznaj!

- Nie! Tak! Nie wiem! Jestem! Wyznaję!

- I ja wyznaję: zgrzeszyłam, ojcze! Ojcze, tatusiu, papa, Abba! O, Abba, Abba! Czemuś mnie dopuścił? Powiedz, powiedz, czy zawsze mnie widzisz jako swoją małą córeczkę? Czy widzisz mnie jak ufego, niewinnego aniołeczka w kitkach? Jak słodkiego golaska, słodziutkiego jak lizak do lizania, do wylizywania siedzącego gorącą różową pupcią na zimnym parapecie z tym zmierzwionym misiem luli-luli i z tym nie do pomylenia z czymkolwiek innym, kurwim błyskiem w źrenicach migającym jak neon *Ojezu, daj mi go zaraz?*

- Tak, właśnie tak cię widzę!

- Aaa, więc tak mnie widzisz ty popieprzony bydlaku? Przyznaj! Wyznaj! Zeznaj! Jestem dla ciebie tylko wiecznie ociekającą hormonami, lepką cały czas rozwartą brzoskwinia i małą nienasyconą diablicą, ty pierdolony zboczeńcu? Chcesz żebym była taka? Takiej mnie chcesz? Diablicy? Jestem diablicą?

- Chcę! Jesteś!

- Ojej, proszę pana! Naprawdę? Chcesz? Pokazać ci?

- Chcę! Pokaż! Pokaż, ty mała wstrętna brudna kurwo, chcę!

- Więc patrz!

Odchyła się, robi mostek szeroko rozkraczając nogi, nuci *luli-luli...*

Zasnął i śpi śniąc trzymając w dłoni pilota od telewizora a ślina wycieka mu z kącika ust wąską stróżką na poduszkę. Nie ma zielonego pojęcia że gdyby teraz umarł, no to nawet by się o tym nie dowiedział.

SZEHHEREZADA

Ma dosyć Chińczyków śniących pośród mgieł opiumowego dymu o Wielkim Murze. Przypomniawszy sobie tę małą dziewczynkę spod szesnastki, z tatusiem. Jeszcze nie wymyślił żadnego pretekstu, żeby. Psia mać, prądu nie wyłączyli ani razu a to cholernie dobry pretekst: raz żeby pożyczyć świeczkę i dwa żeby wrócić żeby oddać, dwie pieczenie, he he. Zrobić zwarcie? Muszę pomyśleć. Albo pójść i zapytać o poprzedniego lokatora że coś tam, jakaś bardzo pilna osobista sprawa

- Czy nie wie pan dokąd się?

A jak nie wie, dokąd się? No to najwyżej mu powie

- Przykro mi, niestety nie wiem dokąd się.

Nie, świeczka będzie lepsza. Dwie pieczenie. Chyba żeby nie miał, no to wtedy...

Więc na dziś ma dosyć Chińczyków śniących w mgłach opiumowego dymu o Wielkim Murze, dzonkach, smokach i Jangcy. Chodzi od ściany do drzwi. Od drzwi do stołu. Zgodnie z ruchem wskazówek zegara i odwrotnie. Pali, popija wódkę, pali, popija, chodzi, siada, stoi nieruchomo patrząc szklanymi oczyma na stałego sublokatora, tego parszywego gołębia na parapecie, na topole, sprzątaczkę zamiatającą śliski podeszczowy bruk, na czarnoskórego mleczarza Maurice i na wrzucającą odpadki do pojemnika, żółtoskórą kelnerkę Sylvie z bistro *U Gastona*.

Kiedy alkohol zaczyna działać, siada w fotelu podnosząc słuchawkę.

- Stella?

- Noo, cześć! A wiesz że to bardzo ciekawe? Właśnie miałam do ciebie dzwonić.

- Dobry Boże! A ty wiesz ile razy ja dzwoniłem do ciebie i dzisiaj i wczoraj i przedwczoraj? Gdzie ty się podziewałaś?

- No coś ty? Cały czas jestem albo w wydawnictwie albo w domu a gdzie miałam być? Nieważne. Słuchaj, przeczytaliśmy te dwa ostatnie rozdziały.

- I?

- I uważamy że są wspaniałe!

- Ten o Dante pukającej do drzwi też?

- Tak, ten chyba najbardziej. Wprawdzie Antoinette kręci nosem ale ja jej zdanie mam w dupie. Richard i Pierre także.

- Cieszy mnie że wam się podobało, bo ja sam mam cholerne wątpliwości.

- Ale piszesz?

- Tak, piszę ale chyba spaszuję. Na trochę. Chyba się wystrzelałem.

- Wiesz co? Spotkajmy się w Szeherezadzie. Co ty na to?

- Teraz?

- Może być zaraz! No nie, tak zaraz to nie, mam jeszcze kilka telefonów do wykonania. Powiedzmy za godzinę, powiedzmy o szesnastej, może być?

- No więc facet siedzi na ławce nad Sekwaną w cieniu drzewa i rozważa propozycję wyjazdu. Albo do tego kraju w którym zostawił kochankę albo do Katmandu, pomiędzy piękne jaki i brzydkie Tybetanki.

Stella upija łyk wina, jest w jasnobezowej sukience z niewielkim półokrągłym dekoltem.

- Jaki będzie związek tego drugiego z tym pierwszym?

- Ten drugi jest z jednej strony Natura naturans i zarazem Natura naturata.

- A ten pierwszy ma się do drugiego...?

- Identycznie jak drugi do pierwszego, tylko na odwrót. Przewrotnie proste, nie?

Stella poważnie, podnosi kieliszek do ust ale nie pije.

- Teoretycznie. Nie popłaczesz się? Nie pogubisz się? A jak zamierzasz wkręcić pomiędzy nich *Dante*? Mam na myśli tę z Brazylii, nie lolitkę z misiem.

- A rozdział o śnie nie jest dobrym przykładem?

- A lólitkę spod szesnastki?

- Mam kilka koncepcji.

- Na przykład?

- Rondo, bolero. Butelka Kleina, o ile wiesz co mam na myśli.

- Butelka Kleina? Jasne, pamiętam z uczelni: inna postać Wstęgi Mobiusa.

- No właśnie...

- No to zapowiada się ciekawie.

- I ja tak myślę.

- Nie za dużo w tym erotyki? Niektóre kawałki to czysta pornografia, kochaneczku.

- A nie za dużo erotyki i pornografii na co dzień dokoła nas i w nas? I nie mam na myśli tylko literatury czy filmu, zajrzyj w głąb siebie a zobaczysz, co zobaczysz. A poza tym, dla mnie to rzecz o ludzkich wnętrzach. Bez erotyki, obsesji, najmroczniejszych pożądań żadna proza nie jest prawdziwa. *Wichrowe Wzgórza*, rozumiesz? Albo *Przeminęło z Wiatrem*. A choćby *Duma i Uprzedzenie*, *Wojna i Pokój*, *Don Quichotte* czy taka *Alicja w Krainie Czarów*. No, o czym są? Z czego wyrastają? Wszystkie są o pożądaaniach i erotycznych pragnieniach. Świadomych i podświadomych czyli o czym? O pieprzeniu, o ile jeszcze pamiętasz na czym toto polega.

- Kiedyś razem poznawaliśmy na czym polega pieprzenie, pamiętasz? Mówi Stella i nagle poważnieje. Nie masz zbyt wiele czasu, w umowie...

- Och, daj spokój. Wiem co jest w umowie ale pisanie nie zależy od terminów ustalonych w umowach. Mam poważniejszy problem niż umowa.

- Jaki?

- Muszę wyjechać. Gdziekolwiek. Choćby na kilka dni. Jeszcze nie wiem gdzie ale muszę. Zrozum, ciągnę równolegle kilka tematów bojąc się że popieprzę wszystko albo się zblamuję nie domykając gdzieś zaplanowanego koła. W rezultacie mam ze strachu pustkę w głowie. A jeszcze ten esej o Marlowe, zgroza!

- Masz pomysł gdzie wyjechać?

- Myślałem o Marsylii, o Monique.

- O Monique? A po cholere ci jej bachory, sfera neurastenicznych kotów i sklerotyczna prababka w fotelu na biegunach? U niej odpoczniesz? Wolne żarty...

Stella wypija łyk wina i proponuje

- Słuchaj... jeśli tak bardzo potrzebujesz spokoju, bierz klucze od mojego letniego domu pod Le Tulen. To niecałe czternaście kilometrów od Bergerac... Zresztą, po co ja ci to mówię? Przecież już tam kiedyś byłeś z tą małą, z tą... Anaïs, tak? Miała na imię Anaïs? Tak? Anaïs? Pamiętasz?

Anaïs? Kawał czasu. Kiwa głową że tak, pamięta orzechowe oczy, borsucze lśniące włosy przycięte równiutko nad brwiami, gotycka wampirza moda.

- Ty, a właściwie o czym ona pisała? Bo kiedyś coś wydała, nie?

- Napisała doskonale ilustrowaną jej ręką historyjkę o tym, jak chciała zamordować swojego ojca, który parę razy zamykał ją u czubków.

- Ooo, to ciekawe. A dlaczego ją zamykał?

- Jako niepokorna małolata uciekała z domu, ćpała, kradła i wesoło kurwiła się po Europie. Taka ot, spowiedź dziewczęcia wieku. De Musset a rebours.

- Ładnie powiedziane: de Musset a rebours. Upiory grzesznej przeszłości?

- A kto ich nie ma? Ty?

- Ja nie mam? I jeszcze ile! Więc rozstaliście się z powodu jej upiórów?

- Jej upiórów? Nie, kochana, nie z powodu jej upiórów tylko z powodu jej cycków.

- Jej czego? Cycków? Żartujesz!

- Ani mi się śni. A rozstaliśmy się wracając właśnie z twojego domu. Jej się marzyło zostać awangardową pisarką, taką barykadą hurra-rewolucyjnych form a wstydziła się małych cycków, wyobrażasz ty sobie? I kochała się ze mną w łóżku z kutego żelaza

zakuta w pancerny gorset hoplity nawet wtedy kiedy jak rumuńska gimnastyczka zakładała mi nogi na ramiona i to bez pomocy rąk! Wyobrażasz ty sobie? Och, co za cholerna wariatka! A propos, słuchaj gdzie jest taki hotelik... *Le Monsieur* czy jakoś tak. Niedaleko od tamtego twojego domu...

- *Le Monsieur*? Na pewno chodzi ci o *Le Mylord*. To jest w Saint Laurent Des Vignes, po drodze do mnie. Albo ode mnie, zależy.

- Saint Laurent Des Vignes? A tak, faktycznie, przypominam sobie. Tak. Teraz pamiętam!

No jasne że pamięta Saint Laurent Des Vignes. Na wysokich stołkach przy bufecie sączyli drinki, kiedy poinformowała go kategorycznym, nieznoszącym sprzeciwu głosem że nigdy ale to nigdy żadnemu facetowi nie pokazywała cycków i jemu też nie ma zamiaru pokazywać cycków, więc niech zapomni o jej cyckach i więcej nie próbuje zobaczyć jej cycków i jak chce się z nią jeszcze kiedykolwiek pieprzyć będzie musiał zaakceptować jej decyzję tu i teraz a jak nie, no to natychmiast się rozstaną.

- Tak? No to żegnaj kochana Anaïs!

Odjechała pierwszą ciężarówką jaka się nawinęła, wkurwiona jak nie wiem co.

- O, dobrze pamiętam!

- No to pamiętasz i to, że z Paryża to ledwie ze sześć godzin czyli tyle co nic, mówi Stella, bierz klucze i jedź a choćby i zaraz. Do *Le Mylord* wstąpisz po drodze, możesz tam sobie strzelić wspomnieniowego drinka o ile jesteś sentymentalnym idiotą. Aha, w pokoju na piętrze znajdziesz laptop ale jeśli wolisz maszynę do pisania to jest i maszyna, aha w barku masz pod dostatkiem alkoholu aha, ty a jak cię przypili to w miasteczku zawsze znajdziesz kilka chętnych wdówek i stęsknionych panien, choć jest sporo młodych puszczałskich bo teraz tego wszędzie pełno, sam wiesz najlepiej, aha i siedź tak długo jak długo będzie potrzeba a choćby i rok.

Wziął klucze.

SYRENY

Wprowadził samochód do garażu, opuścił drzwi i z walizką w ręce, torbą na ramieniu wszedł do domu. Powitał go przytęchły półmrok i okurzone bliki światła wpadające przez drewniane okiennice. Otworzył je i rozejrzał się no tak, dobrze pamiętałem. A gdzie marabut? Wypchane ptaszysko patrzy na niego spod folii, stoi obok kominka po prawej stronie tam gdzie drzwi do kuchni. Do kuchni? A nie do kibla? Zdejmuje folię z marabuta, stuka palcem w kostropaty dziób

- Witaj, stary!

Wyjął z torby kanapki i podszedł do drzwi po prawej. Jednak do kuchni, mam jeszcze niezłą pamięć, to tamte są do piwnicy. Wspomniał na instrukcje Stelli; sięgnął do małej wnęki, odkręcił zawór gazowy a potem podszedł do drugiej wnęki włączyć prąd. W kuchni nastawia wodę, z przyjemnością wypije *Rooibos* którego pełną puszkę przywiózł ze sobą. Z szafki wyjął talerzyk, rozpakował i ułożył kanapki, zamknął otwarte drzwi lodówki a potem wetknął wtyczkę w gniazdko; zabręczała cichutko. Będę musiał jutro pojechać do miasteczka, porobić jakieś zakupy. Albo nie, nie jutro, pojedę jak zjem. Mogłem po drodze no ale to tylko parę kroków o, widać dachy. Tak, zjem i pojedę.

Usiadł na okrytej folią kanapie i jadł kanapki z talerzyka który trzymał na kolanach czekając na gwizd czajnika. Folię z kanapy ściągnę jak wróć. I pootwieram okna, niech się przewietrzy. Aha, muszę poszukać jakiegoś drewna jak napalę w kominku to zaduch zniknie. Gdzie ona trzyma drzewo, w garażu? Nie, w garażu nie widziałem. Pewnie jest gdzieś jakaś komórka, składzik czy coś w tym rodzaju, takie domy zawsze je mają. Poszukam. A jak nie ma? To kupię w miasteczku, na pewno mają takie gotowe, w wiązkach. Albo na wagę. Do kominka. Szczapy? Anaïs... Rzeczywiście nie miała cycków ale żeby robić z tego taki problem? No dobra, kupię w miasteczku.

Nie spodziewał się telefonu, więc kiedy zadzwonił, poderwał się zrzucając talerzyk, rozbił się z głuchym brzęknięciem; zaklął. Uważając na skorupy uniósł się żeby odebrać telefon.

- Odebrałeś więc dojechałeś szczęśliwie. I jak dom, w porządku?

- Cholera, tak się przestraszyłem dzwonka że rozbiłem ci talerzyk.

- Talerzyk? Jaki talerzyk? Och, nieważne! Wszystko w porządku?

- W jak najlepszym. Włączyłem gaz i prąd, przywitałem się z marabutem, włączyłem lodówkę i teraz jem kanapki które wzięłem sobie na drogę. Słuchaj, zastanawiam się gdzie trzymasz opał do kominka, w jakiejś komórce?

- Nie nie, w żadnej komórce. Drewno znajdziesz w piwnicy, pod schodami, w takiej skrzyni. Jest razem z podpałką a węgiel jest za skrzynią w papierowych workach. Poszukasz, znajdziesz, jesteś dużym chłopcem nie?

- Jasne! Ulżyło mi bo już chciałem kupować w miasteczku.

- W miasteczku? Tam nie mają nic takiego, no chyba że w Bergerac, nie miałbyś daleko. A poza tym? Jakie masz plany na dziś?

- Zaraz ruszam po zaopatrzenie. Słuchaj, mówiłaś że gdzie jest koniak, wódka i inni mocarze? Tu, w salonie w barku?

- Tak, w barku w salonie a wino w piwnicy, zobaczysz jak pójdziesz po opał. A tak przy okazji, na jak długo się zakwaterujesz?

- Może na tydzień, może trochę dłużej. Dlaczego pytasz, masz jakieś plany względem...

- Nie nie, ja tylko tak. Oczywiście, jeśli nie masz nic przeciwko temu, wpadłabym na weekend. Co ty na to?

- Wspaniale! Po tylu dniach będę spragniony człowieka. No i od ręki przeczytasz wszystko, co wymęcze.

- To dobrze, więc ty pisz a ja wracam do roboty. Pisz. I jakby co, dzwoń o każdej porze.

Wypił spory łyk i odstawił szklanę. Rozpiął pasek od spodni, guzik i zamek błyskawiczny na który zawsze mówił *ekler*, mimo że to słowo już dawno wyszło z użycia. Zdjął spodnie razem z bokserkami, złożył starannie najpierw spodnie a potem bokserki i starannie przewiesił na oparciu kanapy. Zamknął oczy wywołując z pamięci pokój który zajmował w domu na przedmieściu Johannesburga u panny Sary. Widzi twarz panny Sary a później materializuje mu się jej wspaniałe, duże, białe i piegowate nagie ciało więc z głową odchyloną na oparcie sęczy powolutku *Rooibos* zmieszany z wódką i z namaszczeniem bez pośpiechu (bo i po co?) onanizuje się albowiem masturbacja nigdy nie sprawia mu takiej przyjemności jak wtedy, gdy pijąc świeżo zaparzony *Rooibos* z zamkniętymi oczyma wspomina sobie drewniany dom na przedmieściu Johannesburga, pannę Sarę i jej szeroko rozpostarte tłuste, białe uda i rubinowe prawie czerwone włosy łonowe okalające wilgotną szparkę między nabrzmiałymi wielkimi ciemnobrązowymi wargami z których wyciekał na pościel biały lepki śluz a ona, panna Sara pocierając łechtaczkę wskazującym palcem lewej ręki (była leworęczna, świadectwo licznych talentów) przywoływała go do siebie namiętnym, gardłowym ochryplym a sprośnym *Geef het aan mij! Geef het aan mij!* w języku swoich umarłych, żydoniderlandzkich przodków, podczas gdy on stał nad nią w rozkroku i patrząc na jej ciało onanizował się zupełnie jak teraz, gdy siorbiąc powolutku napar w kolorze rubinowym (jej włosy łonowe) osłodzonym brązowym (jak jej wargi sromowe) słodkim (jak jej dziurka) trzcinowym cukrem i poniekąd dlatego, zanim nacisnął klamkę i pchnął jakiegokolwiek drzwi (nawet do własnego mieszkania) zawsze wahał się, ponieważ nie miał sumienia zupełnie czystego. Nie był takim świntuchem (co to, to nie) żeby choć najmniejszą kropelką spermy zapaskudzić tę jedwabną koszulę od Versace, więc mimo oporu spowodowanego erekcją wycelował członek poziomo między szeroko rozstawione, nieco uniesione i mocno wyprężone nogi nim wystrzelił na szarą wykładzinę w chwili gdy zobaczył to, co zawsze podczas swoich prywatnych Grande Finale: pijaną kuzynkę Elizę jak tam w kamiennej stodole pod Alpami *hollo-jorli-jiiii*, *hollo-jorli-jiiii* na sianeczku sianie w zapachu wysuszonych chabrów i maków na czworakach, rozkraczona i wypięta jak suka, daje dupy brudnemu, skołtunionemu, skowyczącemu z pożądania bernardynowi *hollo-jorli-jiiii*, *hollo-jorli-jiiii!* a z glinianej szkarłatnej okaryny którą trzymał mu przy ustach, krople zimnej wody kapały mu na kolana. *Hollo-jorli-jiiii?* O matko!

Wstaje i na drżących nieco sztywnych nogach idzie łazienki. Teraz na zakupy, myśli patrząc w lustro nad umywalką. Tak, na zakupy. Wpaść do tego hoteliku czy darować sobie wspomnienia? Jestem sentymentalnym idiotą? Jestem. Tak, jestem pomyślał przyglądając włosy, chyba tam wpadnę.

Nie wpadł tam, tylko dziarsko pomaszerował do miasteczka bo chciał sobie zrobić spacer w kierunku dachów doskonale widocznych z okna kuchni. Dokonał drobnych zakupów i wrócił przemoczony jak diabli, bo w drodze powrotnej złapał go ulewny deszcz więc teraz zrobił sobie gorącej kawy i dolał do filiżanki rumu z barku a potem stanął przed zroszonym oknem patrząc na pola rozciągające się po horyzont, dachy, ścianę lasu.

W pokoju na górze wkręcił papier na wałek maszyny. Podniósł i opuścił palce jak pianista przed pierwszym akordem. Ta jej matka to była niezła suka: radź sobie! I poszła w świat z jakimś frajerem, zostawiając córeczkę rozdętą jak balon w tamtym mieszkaniu nad warsztatem. *Patek-Philippe* z dwucyfrowym numerem, porcelanowa ręcznie malowana tarcza i złożone wskazówki. Szkoda że przepadł... A co mi nie przepadło? A pierwsze wydanie Verlaine? A *Giaur* Byrona z 1813? Obok kościoła świętego Józefa a tuż tuż kolejny, świętej Elżbiety tak że nic, tylko grzeszyć. Oni zawsze odpuszczają, jak nie w jednym to w drugim. Morderstwo, kazirodztwo,

skrobankę, wszystko. *Wybacz mi ojcze, bo.* Myślą, mową i udami. A ojciec: *Ego te absolvo* czyli idź w cholerę i nie wracaj więcej! I nie grzesz więcej. Tak mówią. I nie grzesz więcej. I odpukują w to sitko niezbędne dla odcedzania makaronu dobrego ode złego. Niezbędne im, spowitym w dymy kadzidel i perliste tony Haendla grzmiące *A-LELU-JA! A-AA-LE-LU-JA-AAA!* I w ciężkozbrojną jazdę odpuszczania cudzych grzechów. Ciekawe czy mogą sami sobie odpuszczać? *I nie grzesz więcej, moja córko. Chcę nie grzeszyć więcej, Ojcze; ale będę grzeszyć więcej Ojcze. A czy ty nie chciałbyś, Ojcze? Chciałbym, chciałbym, o chciałbym!* Jasne, że chciałby. A kto by nie chciał na ich miejscu? Ile można walić konia gdy budzą się niewyżyte upiory hormonów? Na przykład w takim konfesjonale, kiedy spocone ze strachu z kropelkami potu pod nosem, niepewne wyroku jaki na nie wyda, pokut które im zada, wylewają z siebie przerażoną, gęstą, mulistą strugę brudnego wstydu: *Wybacz mi ojcze, bo zgrzeszyłam!* Ojcze? Abba? Czy oni widzą je jako swoje grzeszne córki? Czy widzą je jako małe nagie aniołeczki w kitkach, jak słodziutkie lizaczki do lizania wylizywania mlask-mlask? A wszystkie z tym nie do pomylenia, kurwim błyskiem w źrenicach, cały czas migającym jak pieprzony reklamowy neon *Wsadź mi!* A rozporok? A ojczulek swój rozporasek rozpina dopiero jak penitentka klęknę czy też ojczulek trzyma cały czas na wierzchu swoją bestię w nabrzmiałym pogotowiu? Jaką bestię? No, tę bestię w lubieżnym kolorze *Black Noir* (long. 24 cm; diam. 6 cm) złaknioną smaku różowego mięska świeżej, rozwartej pizdoelektrycznej pochwy, nabrzmiałej od stałej gotowości nabożnej penitentki nabożnie rozwartej albowiem nie zna dnia ni godziny ona, albowiem choć jej duch mdły to ciało ochocze, nie? A przykładem niech będzie Etienne. Etienne? Etienne zdyszany, w podkaszanej sutannie, umazanymi palcami czynił im lepki znak krzyża: *Idź i nie grzesz więcej* a tamte cztery gołe dziwki podniecone jak podniecone kozy rżały w podnieceniu

- Ooooożesz, kurwa, Etienne!
- Etienne! Nie-mo-żli-we!
- O ja pierdolę, Etienne!
- No to wesoły z ciebie księżyk, Etienne!
- Etienne a czy one wiedziały co robiłeś?
- A czy widziały jak to robiłeś?
- A one czuły twoje podniecenie?
- A ty czułeś ich podniecenie podniecone twoim podnieceniem i czułeś że one czują twoje podniecone ich podnieceniem z powodu twojego podniecenia podniecenie?
- A czy pukały stukwały drapały jak myszki dysząc zaciskając usta palce uda pochwy prosiły zebrały błagały płakały chrząkając jak świnki szeptały żebyś jej im z nią z nimi wtedy tam?

- NA BOGA OJCA, ETIENNE!

- NIE MĘCZ NAS, ETIENNE!

- MÓW, ETIENNE!

Więc nasz mężny Etienne przyznaje mężnie: *Tak!* i sadza sobie na gołe, włochate uda gołą wielkocycą Sabinę, wychylając szczeroszklany roztruchan wódy za zdrowie wszystkich kurew tego padola. Skończył w Kalkucie jako trędowaty. Zawsze uśmiechnięty od ucha do ucha na widok kawałka ładnej czy brzydkiej byle świeżej dupy

Bo nie ważna jest uroda,
Byle szpara była młoda!
Hop-siup, tralala!

Nie, nie... Musiała mieć prawie piętnaście bo przecież jej mała miała już ze dwa lata... Uuliła ją *luli-luli* i zaczęła się rozbierać tak szybko jakby majtki płonęły na niej

ogniem piekielnym. O, nasze utracone śniegoraje! Cycuszek, pępuszek, różowa pizdeczka z lepkośladką dziurką... Kołysząc suchymi spiczastymi cyckami z fioletowymi brodawkami wielkimi jak spodki padła na kolana, pobożna orantka: *Daj mi go!* Akurat rozległ się dwudzwon dwukościołów

*BARAM-baram
baram-BARAM*

I nie grzesz więcej. Chce nie grzeszyć więcej ale grzeszyć będzie. Ciekła jak nieszczelny kran *Ojezu, daj mi go zaraz!* Myślałem że go odgryzie, przeżuje i połknie a na kanapie obok nas obok nas dwa wesołe pluszowe niedźwiadki i wielka zezowata lalka a ona raptem żebrze

- Powiedz głośno: ty dziwko!

- Ty dziwko!

I żebrze

- Powiedz głośno: ty brudna kurwo! Proszę, błagam! Powiedz tak, powiedz! I uderz mnie!

- Ty mała, brudna kurwo,

Uderzyłem a wtedy ona *Już będę grzeczna, tatusiu!* No a potem jak zwykle zobaczył to, co zawsze oglądał w tych swoich wariackich wspominkach bojąc się że jest chory i zboczony. O, na pewno zboczony jest skoro przy każdym orgazmie wspomina pijaną kuzynkę Elizę w szarej, kamiennej stodole tam, pod Alpami *hollo-jorli-jiiii!* kiedy na sianeczku sianie, w zapachu wysuszonych chabrów i maków na czworakach, słodka jak tabliczka *Milki*, rozkraczona i wypięta jak wielgachna, tłusta suka daje dupy brudnemu, skołtunionemu, skowyczącemu z pożądania bernardynowi *hollo-jorli-jiiii, hollo-jorli-jiiii!* Opowiada o tym gołej Catherine a ta spuszcza fałszywie załzawione oczęta, chichoce i oczęta podnosi i śliczna dziewczynka *hollo-jorli-jiiii* trzepocząc rzęskami przenikliwie wpatruje się w jego oczy na czworakach rozkraczona i wypięta jak suka *hollo-jorli-jiiii* a potem uśmiecha zalotnie do niego, skowyczącego z pożądania. Zalotnie? Jakie tam, kurwa, zalotnie? Prowokująco, zachęcająco i wyzywająco. Zaprawdę, powiadam wam oto zachęcająco połyskliwe kurewstwo tkwi w każdym z jej dziecinnych jadeitowych oczu, o umiłowani! Widzi to, nie zapomni tego, spać z tym pójdzie i śnić o tym będzie. Zawsze. Na zawsze. Już zawsze.

- Ty! A ile ty miałeś, kiedy pierwszy raz?

- Ja? Trzynaście. Z Danielle, kuzynką.

- Była ładniejsza ode mnie?

- Coś ty, Catherine, Danielle?

Danielle? Z błękitną wstążeczką we włosach spłowiła od słońca i morskich wichrów córka szypra, co rybę łowił w Zatoce. Rybitwa chłał dużo a kiedy chłał, tego bijał i matkę i córuś bo latorośl ludzaco przypominała innego szypra. Chlipiąc uciekała do portu, siadała na główce falochronu i machając bosymi nogami wyobrażała sobie, że. Miała bezrzęse wylupiaсте oczy albinoski a jej kwaśny oddech kusił mnie dusząco między szumem morskich fal i koronami balsamicznych sosen koronujących wydmy *Chceszszszsz? Pokaaaaażę ciiii cooośśśś... Aaaaaaa*, to ona to mówiła! No patrz, że też dopiero teraz sobie przypomniałem! Uniosła kretonową sukienkę w niezapominajki, powolutku ściągając majtki. Szeroko rozkłada kolana z napięciem patrząc jak oczy wylażą mi z orbit. *Patrz! Widzisz? Pokazałam ci, a teraz ty mi pokaż.* Starsza o prawie dwa lata, niegęsto owłosiona. Bezrzęse wodniste oczy albinoski syrenio kuszą między falami szumu morskich fal widocznych spod sosny

- Chceszszszsz? Wsadź mi go o, tuuuuuuuuuuu!

Patrzy na kartkę. A Catherine? Tego się nie da nauczyć, to się ma we krwi, geny. Geny? Geny. Może jakaś jej zakurzona prapraprababka? *Pod Poitiers, jasny panie,*

wszystkim dawałam jednak, zaciężnym i kanonikom. Zaciężne kurewstwo w każdym z fiołkowych oczek Catherine. Z tym się rodzą, z tym nie do pomylenia z niczym innym, kurwim błyskiem w źrenicach migającym jak neon nad burdelem *Wsadź mi!* Lubią to. Och, no jasne że nie wszystkie. Nie wszystkie, no jasne, ale zdecydowana większość. Dlaczego? Och, dlatego że po prostu to lubią. *Robię to, co lubię i jeszcze mi za to płacą.* Która to powiedziała, Aleksandra? Aleksandra z sutkami sterczącymi jak gumowe smoczki które właśnie ktoś wycmokał. Zawsze głośno jęczała kiedy. Kiedy to było? Wtedy, w burdelu Galata. A Catherine w siedemdziesiątym którymś wyszła za dżinsowy komplet. Mieszkanie miała na początek. No jak on się nazywał? Taki wysoki... No? A, nieważne. Miłośnik *Deep Purple*. Jeszcze pada? Przejdzie, zaraz przejdzie, to już popłuczyny. Miłośnik *Deep Purple*. To były czasy! A *Led Zeppelin* i Santana z *Oye Como Va*? Albo Hendrix? Panie, to były czasy!

Popija drinka spoglądając na kartkę tkwiącą w maszynie. Tak, to były czasy... Czy jest zadowolony? Spogląda na kartkę tkwiącą w maszynie. No więc czy jest zadowolony? Nie, nie jest zadowolony ale on nigdy nie jest zadowolony. Może i byłby zadowolony gdyby nie cisza w mózgu. Cieszy się z zapowiadanego przyjazdu Stelli no ale to dopiero za kilka dni a teraz ma problem z zatytułowaniem napisanego rozdziału. A Rebours? Może być *A Rebours*. A po chwili myśli że nie, że nie może być *a rebours* bo już to gdzieś powiedział.? Wtedy, w Szeherezadzie powiedział do Stelli a propos Anaïs że napisała taką ot, spowiedź dziewczęcia wieku i zakończył zdanie mówiąc: *a rebours*. A dokładnie: *De Musset a rebours*. No ale komu przeszkadza że raz już to gdzieś powiedziałem? Mnie! Mnie przeszkadza ripley z samego siebie.

- Tobie! Tobie wszystko przeszkadza.

- A żebyś wiedział, że przeszkadza!

Nie, nie jest zadowolony ale ponieważ nigdy nie jest zadowolony więc po chwili z rezygnacją macha ręką, wstaje i znowu nalewa sobie wódkę z opróżnionej do połowy butelki i dolewa soku. Upija jeden łyk, potem drugi, wraca do biurka, siada przed maszyną i znowu patrzy na kartkę i znowu czyta to co napisał i z czego nie jest zadowolony no ale on nigdy nie jest zadowolony. Wreszcie powoli wystukuje dwoma palcami kolejne słowa.

A REBOURS SIEDZI ERYK NAD SEKWANĄ

Pan Eryk Vincent od dwu godzin siedzi w cieniu platana nad Sekwaną myśląc że pytanie *a gdyby?* jest naszym codziennym towarzyszem. Już choćby tylko dlatego że jest jego codziennym towarzyszem. I że wprawdzie nie poświęcamy mu tyle uwagi ile w każdej chwili każdego dnia ulegamy świadomym i podświadomym myślom i zachowaniom o podtekstach seksualnych ale mimo tego tkwi ono w nas jak poczucie niejasnej winy albo zrezygnowanej odpowiedzialności za nasz obecny los. Teoretycznie mógłby być lepszy, gdybyśmy postąpili inaczej niż postąpiliśmy. Bo powinien tam pojechać. Ale nie chciał. A nie chciał, bo nie cierpiał tamtej ponurej zapleśniałej szarzyzny. I starych znajomych zakleszczonych w problemach gównianej codzienności i koszmarze narodowych przywar. A przede wszystkim, nie chciał wracać do niej. Jeśli pojedzie, znowu nic nie będzie po prostu, będzie codzienna droga przez codzienną mękę. No tak ale będzie ona. Tutaj od jakiegoś czasu żyje jak mąż z żoną z Jeanne, luksusową prostytutką która jest ładna, miła i prawdziwie namiętna ale niestety nie jest tamtą.

Jeanne doskonale rozumie jego rozterki bo doskonale rozumie wszystko. Wprawdzie jest prostytutką ale prostytutką wykształconą, posiadaczką dyplomu renomowanej paryskiej uczelni wiszącego estetycznie w estetycznych, hebanowych delikatnie złożonych ramkach na ścianie jej garsoniery przy ulicy Saint-Denis obok wielce podniecających grafik japońskich mistrzów ukazujących ostry perwersyjny seks samurajów z gejszami. Tyle, że Jeanne nie jest tamtą a on dobrze wie, że po tamtej już żadna nie będzie z gatunku *To właśnie ta!* Więc czego chce? Chce tamtej. Chce jej tutaj nie tam. Ale na *tutaj* nigdy nie będzie jej zgody. Próbowałem.

- Więc zapomnij! I myśl głową, nie kutasem.

- Nie zapomnę. Myślę kutasem.

Od dwu godzin siedzi w cieniu platana nad Sekwaną. W mgle jego pamięci jak stada dinozaurów snują się umarli przyjaciele, dawne naiwne dziewczyny i minione dojrzałe kobiety. Tak, to od nich wszystko się zaczęło, od nich, od kobiet, myśli. Hawwah, Dalila, Helena, Klitajmestra, Thaïs, Kleopatra, Mesalina, Lukrecja. I Kitty O'Shea. No i przede wszystkim, matki. Sprawdź u źródeł Nile złudzeń. KsR-2:2? Tak, KsR-2:2? Tam szukaj pilnie, znajdź, nim ci oczy wypłyną! Widzisz je? Poznajesz je? Cherchez la femme, do jasnej! Zapamiętaj: KsR-2:2! Przekonaj się!

Zamyka powieki. Miliony, Villony, o nasze utracone śniegoraje! Cycuszek, pępuszek, różowa pizdeczka z lepkośladką dziurką... Wstrzymując oddech przeszukuje ciemność gałek ocznych: jest! Galarętowate, bladoróżowe, ciepłe wewnątrz pramacicy nasuwa się mlaszcząc na jego ciało od głowy, jakby wchłaniały go zaślinione usta gigantycznej ameby a synapsy-nibynóżki oplatają ściśle zaklejając oczy, usta i uszy. Trylobit bólu. Trybolit? Trybolit! Co robić? Nie widzieć, nie słyszeć, nie mówić: małpki znaczeń. Nie odczuwać niczego. Czuje gwałtowny skurcz w gardle, rejestrując potok śliny wylewający się z ust. Teraz znika w trzewiach Kosmosu rozpylając się we wszystkich możliwych kierunkach naraz, pod? Wewnątrz? Na zewnątrz? Wszędzie naraz. Trybolit bólu... Trybolit? dobre słówko, myśli, Freudowskie takie. Try-bo-lit... Staruszek Freud, myśli. Psychoanaliza psychola, myśli. Jaka była twoja mamusia, Dziubasku? Jaka była moja? A jaka była twoja, ty stary dziadu w szpicbródkę szarpany! Czy Herr doctor Sigismundus Szlomo Freud obracał córuś swoją? Czy był obracany przez swoją matuś? Może. To by wiele tłumaczyło. A jak nie obracał córeczki swojej to czego to będzie wyjaśnienie, mądralo? No to jaka była twoja mamusia, chłopczyku? Myślę.

- Pomyśl, pomyśl; jeszcze pomyśl!

Myśli: wezykatorie wczoraj, mama-domina słodka i groźna? Jedynobogini władczą i karzącą? Klapsa za siusiu w majtki? Słodki pierniczek za kupkę w nocniczek? O tak, pieszczotliwa Pasyfae, jej mleczne cycuszki do ssania. Rozstaw żrenic, kształt piersi, bioder, wzrost. Imprinting. Idea fixe poszukiwana jak perpetuum mobile. Piernikowe dłonie, lukrowane oddechy szminkowane usta... Wracały z przyjęć radosne, nucąc *La la lala, lala lala, la lala...* Pachniały obcymi samcami. Po nich już żadna nie będzie *tą...* Jak po niej. Graale dorosłości: zaprawdę, to była matkokobieta i kobietomatka twoja: hostia wiekuista. Smaki i zapachy jej: kuchni, perfum, bielizny w szufladce, pudrów. Kołysanki senne, subtelne pieszczotliwe dotyki... A pewnej nocy jej słodką wizję wytrysnął jałowym śluzem gdy pierwszy raz czynił to pod kołderką z podkasaną koszulką nocną, zaraz po *Aniele Boży, stróżu mój*. Był jeszcze rozgrzany kąpielą pachnącą żelatynową zieloną kąpielową szyszka *Sosnowy Las*, z okiem pamiętającym jej syrenie wymiona wiszące w szeroko rozchylonym dekolcie i *a teraz umyjemy ptaszka, króliczku...* Jedyna, która pieściła bezgrzesznie, nie oczekując zapłaty. Chroniła cię przed nim, Kronosem i labrysami jego pijanych nienawiści gdy wkraczał do komnat trzaskając mieczem i nagolenicami. I utka ci całun jeśli pierwszy wejdiesz do Hadesu, między asfodele z jej sierocowdowim, ostatnim obolem na powiekach. Ktoś to już kiedyś powiedział... Kto? No kto to powiedział jeśli powiedział? Ten półślepy pisarz, w okularach jak denka butelek? Może...Ten, który posiadał na składzie swych marzeń oszalałą córkę o zdolnościach romańskich mnichów-iluminatorów, incunabula? *Book of Kells*, jak sądzę?

- Słusznie sądzisz, jak sądzę.

- On to powiedział? Na pewno?

- O, bardzo być może na pewno że on właśnie albowiem bardzo wiele powiedział on.

No, tak...

- Zatem dokonaj analizy, sprawdź w labiryntach pamięci która poza nią, twoją matką, kochała cię naprawdę. Która twoje pieniądze, która tylko seks z tobą a która tylko seks i pieniądze. I co spierdoliłeś sam a co one. W której chwili i w którym miejscu puściły ściegi poszwy rozsypując jak pierze twoje życie. I nie zasłaniaj się niepamięcią, taktyką gówniarzy, bo to nie jest sprytne, to jest głupie. Sprawdź, otwierając wrota do amfilady swojego życia (sprawdź u źródeł Nile złudzeń. KsR-2:21). A co ma zrobić jeśli mimo najszczerszych starań niczego nie wyjaśni? Jeśli na żadne z dręczących go pytań nie znajdzie odpowiedzi buszując w tej faktorii, jaką jest jego grzeszna przeszłość? Nie zasłoni się niepamięcią, taktyką gówniarzy. Nie zakryje oczą, krzycząc infantylne: *Nie ma mnie, matulu! Szuuuukaaaaj!* tylko nader szczodrze roztoczy przed sobą horyzonty nieprzebranych możliwości i albo wstąpi do klasztoru Sant Quirze de Colera albo zamieszka w jakiejś mniszej republice, może na górze Atos, może Daitoku-ji czy Hemis, w Peczerskiej Ławrze albo zagości na Montenegro, gdzie jako sumienny a schludny braciszek Easy Writer, kontynuować będzie poszukiwania odpowiedzi na stronicach iluminowanych pergaminów cuchnących mocno nadpleśniałym toksycznym grzybem. Będzie z dzbana kamionkowego pijać zatęchłą wodę, żuć razowe chleby, nacierać reumatyczne kości wyciągiem kłączy z klasztornego herbarium, srać świętobliwie w otwór wspólnej latryny wyglansowany na połysk kostropatymi mniszymi tyłkami. Oczywiście, od czasu do czasu będzie wecować nadmiękły penis, resztkę zagubionej świetności, nucąc pogodnie *Te Deum laudamus*. Tak...

Ilekoć zastanawia się gdzie popełnił w swoim życiu błąd, zawsze dotyka go zimny marmurowy Palec Niebiański, który wciska go jak pinezkę w ziemię i słyszy głos: mężczyzna, który wiąże się z kobietą po raz enty... A przecież życie powinno być proste jak definicje. Powinno być nieskomplikowane jak konstrukcja dzidy. Ale nie jest. Życie to system, którego (o, paradoksie!) constans w homeostazie polega generalnie na nieustannych przemianach wszystkich elementów łącznych: spotkań, rozstań, spania,

jedzenia, picia, pieprzenia, nieustającego ciekłego zdarzeń (wspomnijmy Ἡράκλειτος ὁ Ἐφέσιος) bez możliwości zawrócenia ale z możliwością wszechkombinacji.

ERYK NAD SEKWANĄ SIEDZI A REBOURS

Eryk siedzi na ławce nad Sekwaną. Patrzy na rzekę, wdychając gnilny zapach wspomnień myśli: *Rio Negro*. I że zrobi z Dante pełnokrwistą Zamba. O, więcej niż Zamba, wsączy w jej żyły krew nie tylko Białych, Metysów, Kreoli, Murzynów, Indian czy portugalskich konkwistadorów ale i Chińczyków, którzy w dawnych czasach pracowali na budowach linii kolejowych, zapór, dróg i mostów. I afgańskich tkaczy latających dywanów. I hinduskich guru. I perskich zapaśników. I Cyganów, żeby nie zbrakło krwi żadnego z ludów tej ziemi. Tylko żeby nie zapomniał! Muszę to później zapisać.

- Zapomnisz, teraz zapisz!

- Jezu, dobrze, teraz zapiszę żeby potem nie zapomnieć zapisać.

Wymmuje notes, długopis i zapisuje

1. Pisarz tworzy powieść o nimfetce, którą nazwał Dante;
2. Grubas-tragarz z ciężką kanapą na ramieniu; Archimedes, Grecy, starożytni;
3. Matka pisarza; jego dzieciństwo i obsesje;
4. Pracowity Rashid, Arab, którego żona gotuje baraninę z kapustą;
5. Facet siedzący na ławce nad Sekwaną, wspominający niedobitą miłość;
6. Chińczycy palący opium, śnią tęskniąc za ojczyzną;
7. Magiczny sen pisarza o Lolicie - Dante;
8. W knajpie Szeherezada; wyjazd; wypchany Marabut;
9. Dziewczyna imieniem Anaïs z ogłoszenia, pierwowzór Dante;
10. Rozterki nad tytułem. *Wena* czy *a rebours*;
11. Jeanne jako Kobieta-Cyweta, tworzywo dla Vincenta

No więc zapisał tych kilka punktów i tak sobie siedzi nad Sekwaną i tak sobie myśli że wspomnienia zapachu rzek i dźwięków pianoli potrafią zawrócić w głąb dzieciństwa albo rzucić między szeroko rozwarłe uda szalenie namiętnej kobiety i że będzie się nam już tylko śnić to, nad czym płaczemy przez sen kiedy płaczemy przez sen. Tak? Tak! Bo podobno nasze sny są myślami Boga, bo podobno ciało zanurzone traci a kąt padania się równa. Pianola... Słuchana w okolicach Sacre-Coeur, tutaj czy na Mont-Saint-Michel ma dźwięk tamtych naszych szeptów i naszych niegdysiejszych obietnic wtedy składanych szczerze ale z niepłonnym zastrzeżeniem: nie dotrzymać żadnej. Byliśmy jak katarynka z małpką i jej tajemnicze, guzik warte przepowiednie na żółtych brzydkich kartonikach które wyciągała z pudełeczka po butach. A wtedy? W Rijksmuseum? A, wtedy... Wąska biel strużki mleka która gdzieś około 1660 roku zastygła na wieki w locie do srebrnego dzbanka. *Melkmeid*. Mistrz Vermeer. *Mleczarka*. Albo nie *Mleczarka*, tylko *Dziewczyna z. Z dzbanem mleka*. Gotycka Anaïs bez biustu. Przypomniał sobie ten anons który zamieścił w czwartkowej popołudniówce *Wydawnictwo zatrudni ilustratora*, kiedy był wydawcą gotowym zostać pisarzem. Cudownie! Doprawdy jego życie jest cholernie a rebours!

Siedząc nad zupą cebulową z grzankami Anaïs przeczytała ogłoszenie zamieszczone petitem w popołudniówce i zakreśliła miejsce flamastrem.

- Gaston! Mogę ją sobie zatrzymać? Zapłacę.
- A weź dzieciaku, weź za darmo. Colette ma drugą na zapleczu.
- Dzięki! Jesteś boski.
- Tyle to i ja wiem. Znalazłeś coś ciekawego? O sztuce?
- Nie, ogłoszenie o pracy. *Wydawnictwo zatrudni ilustratora.*
- *Hachette?*
- O zaraz *Hachette!* Jakaś mała oficyna w pobliżu Dworca Północnego.
- Próbuj, Anaïs, próbuj. Próbować zawsze warto a nuż cię zatrudnią?
- Może zatrudnią, cholernie potrzebuję kasy.
- A kto jej nie potrzebuje, Słoneczko?

Anaïs wyciera usta serwetką, wstaje, niesie Gastonowi talerz i łyżkę.

- No to do jutra, Gaston. I dziękuję za gazetę.
- Do jutra, Słoneczko!

Więc ten anons ukazał się w czwartkowej popołudniówce a w piątek z samego rana Anaïs zjawiała się w wydawnictwie tak, jakby przyszła wprost z pokazu gothic-fashion z tym makijażem wampira: plamy czarnego tuszu wokół jodełkowych oczu, kredowy puder i krwista szminka, wypisz-wymaluj panda z rozbitymi wargami. Właśnie parzył sobie kawę kiedy bezszelestnie weszła do jego małego biura i postawiła tekę z rysunkami obok fotela.

Akurat odwrócił się z filiżanką podniesioną do ust, zamarł i patrzy zaskoczony na jej żałobne łąchy, czarną koronkową bluzkę, koronkową minispódniczkę z różowo-czarnymi falbanami, na buty z potężnym koturnem i na ten jej makijaż. Wygląda jak upiorna dziewczynka z tych horrorów o dzieciach czy japońskich komiksów. Vincent odstawia filiżankę unosząc brwi.

- Ja w sprawie pracy.

Wyciąga do niej rękę nad biurkiem.

- Aha. Eryk Vincent, jestem tu jedynym szefem.
- Anaïs Michelet.

Vincent wskazuje palcem tekę,

- Portfolio?
- Tak.

- Doskonale! Zaciera dłonie jakby mu było zimno. A więc, proszę pokazać co pani tam ma. Dziewczyna pochyla się i w rozchyleniu bluzki Eryk dostrzega mikroskopijne dziecięce piersi. Anaïs pachnie jaśminem kiedy rozkłada na biurku kartony zrzuca kubek z ołówkami, spinacze i plik faktur.

- O, kurwa! O, przepraszam, mam niewyparzoną gębę a do tego jestem cholernie niezgrabna... To wszystko moje prace. Nie wszystkie, oczywiście. Oczywiście, wszystkie są moje ale nie przyniosłam wszystkich. Jak będzie potrzeba, przyniosę wszystkie.

W końcu wybrnęła z tych wszystkich, siada w fotelu i kiepsko udając obojętność patrzy na Eryka, który patrzy na przemian to na kartony, to na jej postrzępione granatowoczarne włosy. Jest pod wrażeniem, zaskoczyła go dojrzałość techniki i pewność kreski precyzja kredy i węgla kładzionych bezpośrednio na farbach. I na impasty rozświetlone w nieznany mu sposób. Przypomina sobie wczesne prace Rafaela, taka sama doskonałość kreski ale dostrzega wpływ współczesnych japońskich rysowników. Duży talent. Poczłł niepokój.

- Ile pani ma lat?

- Siedemnaście.

- Siedemnaście? No tak, siedemnaście... Uczennica?

- W Collège Lycée Racine.

- To niedobrze. Nie, nie to chciałem powiedzieć. Chciałem powiedzieć że to dobrze że się pani kształci ale jest pani nieletnia a ja nie mogę zatrudniać nieletnich. Prawo. Rozumie pani?

- Rozumiem. Jestem młoda ale nie jestem głupia. Ale widzi pan, mnie interesuje współpraca dorywcza, taka na zlecenia, rysowanie na zamówienie. Pan mówi co i jak, ja to robię a pan mi płaci za wybrane rysunki. Rozumie pan?

- Jasne że rozumiem. Wprawdzie jestem stary ale nie głupi.

Uśmiechają się.

- Tak, na zlecenie tak, powtarza Eryk, na zamówienie, zlecenie tak. Taka forma chyba jest możliwa.

- Chyba?

- Muszę zasięgnąć porady prawnika. No i ocenić prace innych kandydatów.

- Ma pan innych kandydatów?

- Przychodząc tak wcześnie nie dała pani nikomu innemu okazji do prezentacji. Godna pochwały szybkość działania.

- Potrzebuję kasy więc nie mogę się opierać.

Zarumieniła się pod warstwą pudru. Powstrzymał uśmiech. Podoba mu się ta dziewczyna, podoba mu się to co i jak maluje. Podobają mu się nawet jej strój, szokujący makijaż dziwki a najbardziej jej arogancka pewność siebie. Kto wie, myśli, może?

Dziewczyna przygląda wystrzępione włosy, rozglądając się po biurze bezwiednie opiera kostkę prawej stopy na lewym kolanie, biel ud kontrastuje z koronką czerwono-czarnych majtek. *Patrz! Chcesz?*

- I co pan sądzi o moich pracach? Nadadzą się?

- Przyznam, że mnie pani zaskoczyła. Pozytywnie. To są bardzo dobre prace. Bardzo dojrzałe. Nie spodziewałem się że tak młoda osoba... Ma pani wielki talent.

- To wiem ale czy moje prace trafiają klimatem i techniką w profil i oczekiwania wydawnictwa?

Eryk szuka odpowiedzi a dziewczyna wyciąga z torebki papierosa, nie pytając o pozwolenie zapala więc podsuwa jej popielniczkę.

- Czy teraz wykonuje pani dla kogoś jakieś prace?

- Nie, teraz nie. Jakiś czas temu chałturzyłam dla takiego gównianego pisemka undergroundowego i paru fanzinów ale sporo rysowałam do książeczek dla dzieci. Nic ważnego ot, obrazki w stylu anime. Skończyłam z tym,, bo to żadna praca, żadne doskonalenie warsztatu i żadna płaca. Taka tam... japońszczyzna.

- No tak, daje się zauważyć manierę japońskich rysowników.

- To źle?

- Nie, dlaczego? Maniera nie zawsze jest zła.

- Maniera to gówno.

- A więc Botticelli i Modigliani malowali gówna.

- Och nie, nie to miałam na myśli!

- Oczywiście.

Złakł się jej przestachu. Już wie na pewno że nikogo innego nie przyjmie. Czego się wystraszył? Że odejdzie i nigdy nie wróci? Milczy chwilę, zbierając myśli.

- Zrobimy tak, mówi, proszę mi zostawić swój adres.

- Domowy adres?

- Telefon. Oczywiście, telefon. Zadzwoń jutro wieczorem, najpóźniej pojutrze, do południa.

- Pojutrze? W niedzielę? W niedzielę zazwyczaj śpię do południa i nie odbieram telefonów.

- Przepraszam. Zupełnie poplątały mi się dni, nie wiem dlaczego ale myślałem że dziś jest środa.

- Piątek.

- Piątek. Więc dobrze, proszę zostawić telefon, zadzwonię jak podejmę decyzję. I zadzwonię bez względu na wynik, dobrze? Odpowiada pani?

- Jak najbardziej.

Zapisuje numer telefonu, on podaje jej wizytówkę, ona oddaje długopis, wstaje, idzie do drzwi.

- A pani prace?

- Niech pan się im jeszcze przypatrzy bez żadnych zobowiązań. Do widzenia.

- Do widzenia.

Patrzy za nią przez okno, kiedy przechodzi przez jezdnię między samochodami stojącymi w korku. Na chodniku zatrzymała się i obróciła, widzi uśmiech na jej kredowo-białej twarzy i to że kiwa do niego palcami dyskretnie uniesionej dłoni w czarnych koronkowych mitenkach. Od razu pomyślał że będzie się doskonale nadawać na postać Dante, tylko trzeba ją nieco odmłodzić.

Zadzwoniła jeszcze tego samego wieczora na krótką chwilę przed tym, nim zamknął biuro. Spytała czy może wpaść nazajutrz, pokazać kilka rysunków jakie zrobiła po ich rozstaniu i czy zgłosili się inni chętni. Na pozór obojętnie powiedział żeby przyszła i że chętnie zobaczy nowe rysunki i że owszem tak, zgłosili się inni kandydaci ale nie zadowolili go ich prace, więc czeka na nią jutro w biurze.

- Będę na pewno. Czekaj na mnie.

Wspomniał jej arogancką pewność siebie, biel ud kontrastujących z koronką czerwono-czarnych majtek *Patrz! Chcesz?* i szokujący makijaż dziwki. *Nie jestem taka, proszę pana...* Jesteś, jesteś.

Kiedy obejrzał nowe kartony powiedział jej że tak, że to właśnie to o co mu chodzi i pozornie wyluzowany zaproponował kawę a wtedy ona zaproponowała żeby zaraz, teraz, poszli coś zjeść bo jeszcze nie jadła a jest głodna jak wilk.

Załóżyl kurtkę, zamknął biuro i pojechali do *Vieux Bistro* przy ulicy Cloître Notre Dame naprzeciw Katedry, gdzie lubiła przesiadywać i rysować albo przypatrywać się ludziom jak mu wyznała po drodze. Usiedli przy stoliczku w drugiej, mniejszej salce, Vincent zapalił świeczkę zatknietą w butelce, poprosili o butelkę *Bordeaux*, z radia nad bufetem płynął Strawiński.

- O, Strawiński! Strawińskiego to ja lubię nawet wtedy kiedy szczękają gary a między stoliczkami stukają, pukają obcasiki kelnerki, powiedziała no a potem rozmawiali o malarstwie, poezji i książkach. Skrytykowali Sartrea i Beauvoir, pochwalili Camusa, Mauriaca i Le Clézio, ocenili trochę najnowszych i starych filmów i w ogóle gadali o wszystkim. Nic nie zjedli za to wypili dwie butelki wina cały czas obserwując się bezwstydnie nachalnie *Pokazać ci? Chcesz? Chcę! Pokaż!* Wyszli w pośpiechu, wsiedli do taksówki i pojechali do biura.

Rozebrała się rzucając gdzie popadnie koronkową bluzkę, minispódniczkę z falbankami, buty na koturnach, bransoletki, łańcuszki, sprzączki a na koniec krwiste stringi, została w niepokojącym pancernym gorsecie hoplity zbrojonym w fiszbiny i opinającym jej chudy tors wiedźmy. Eryk także się rozebrał, starannie układając garderobę na oparciu kanapy potem położył się czekając aż ona zakończy misterium odsłaniania swojego bladego ciała. Weszła na kanapę rozstawiając szeroko nogi, osunęła się na kolana, usiadła mu na biodrach zbliżając jadeitowe oczy do jego popielatych oczu i właśnie wtedy przypomniał sobie tamtą dziewczynkę z misiem.

Doszedł do mieszkania, sięgnął do kieszeni po klucze ale Jeanne już otworzyła. *Cześć, kochanie!* Pocałowała go i popchnęła w kierunku kuchni.

- Zjesz coś? Mam pizzę.

W kuchni trąkotała z ożywieniem o jeździe brudnym jak świnia dżipem jakiegoś Jean-Marca.

- Który to?

- No, Jean-Marc... Nie pamiętasz? Właściciel tej małej galerii... No, Jean-Marc!

- Aaa, ten Jean-Marc!

- No tak, ten sam.

Nie pamiętał o tej małej Claire aż do tej chwili. Oczy? Czy przypomniały mu ją oczy Anaïs? I takie same bezwstydne spojrzenie wyuzdanej dziwki natchnionej w tym, co robi? A cóż innego? No a cóż innego?

SIEDZI NAD SEKWANĄ

Siedzi od trzech czy czterech godzin w cieniu platana nad Sekwaną, analizując sprawę wyjazdu. Dziewczyna z pomarańczowym dziecięcym wózkiem cichutko nuci kołysankę. *Aren't you his mother?* Szczęśliwa? A jakże, są jeszcze szczęśliwi ludzie. Na przykład? Na przykład pustelnicy. Albo tacy, dajmy na to, tkacze latających dywanów albo skazani na śmierć, których ulaskawiono w ostatnim momencie. O, albo dziewczice które w tej chwili tracą dziewictwo. Na pewno są szczęśliwe. I wariaci. I młode matki jak ta. *You shut up. Rosemary's his mother. Show some respect.* A ja? Czasami, jak każdy. Jeśli tam pojedzie, spotkają się i? Ale przecież już było im dane się spotkać i to niejedną raz. I? Jest wysoce prawdopodobne że wszystko co mogłoby się nam przydarzyć, już się wydarzyło ale nie jest powiedziane że nie może się wydarzyć jeszcze raz, prawda?

Kolejny raz rozważa propozycję, że jak nie ma ochoty lecieć tam, no to niech leci tam, gdzie będzie na niego czekać ty już wiesz, kto. Jasne, wiem. No więc tak: albo tam albo tam, ale nie tu. Albo tam albo tam. Policjant spojrzał na niego przelotnie i odszedł przelotnie rozsiewając zapach *Chypre*. Gej? Gejowaty ten jego wąsik. Niekoniecznie ale możliwe. Ciężarny okruchami gołąb kołysząc się jak kaczka zatacza piesze pętle wokół jego butów, grucha przypochlebnie. Tupnął butem

- Spierdalaj!

Furkot spłoszonych skrzydeł. A więc w tę środę pójda z Jeanne do galerii na wystawę prac Ryszarda a kiedy wszyscy wyjdą i zostaną tylko oni i Ryszard z kochanką usiądą między obrazami a ceramiką i będą pić do świtu i wtedy oplotkują i skrytykują wszystkich naraz i każdego z osobna. A potem on i Ryszard wyzwą siebie od ostatnich i rozstaną się raz na zawsze czyli do następnego spotkania. Rutyna, jak miłość kochanków. A co potem, powiedzmy, w piątek? A w piątek będą na wieczorku literacko-muzycznym w nadętym Chateau, na którym on oczywiście się upije i naubliża wszystkim a potem wyjdzie. Jeanne wybiegnie za nim stukając szpileczkami i powiewając szyfonem purpurowej sukienki z głębokim dekoltem i długachnym rozporkiem na prawym udzie. Będzie go wołać tak długo aż się wreszcie zatrzyma, podejdzie i pogłodzi jej policzek w milczeniu bo wszystko co miał do powiedzenia już powiedział. Wtedy usiądą w parku na ławce albo na trawie o ile nie będzie padać i będą palić, milczeć i patrzeć sobie w oczy. Jeanne opowie jak go kocha a on jak bardzo kocha ją i że bez niej... Wrócą do jej mieszkania przy ulicy Saint-Denis kupując po drodze wódkę i papierosy, wejdą do apartamentu w którym czekają zamknięte okna i opuszczone żaluzje, zakurzony bezimienny kot, puste akwarium z kamyczkami na dnie, żółte wydmy gazet i sterty zaczytanych na śmierć książek. Prawdopodobnie położą się na łóżku i będą się kochać, później wezmą kąpiel, ubiorą się przewiewnie i coś zjedzą. On siądzie do maszyny do pisania, ona weźmie się za jakąś książkę albo dokończy malowanie obrazu, tego z dzieckiem na tle jaskrów który zaczęła jeszcze w Poitiers. Poza sprzedawaniem swojego ciała w znakomity sposób, Jeanne znakomicie maluje. A co teraz? Teraz do bistro. Do *Gastona* na kawę i pomyśleć w spokoju o tym, jak Chińczycy z jego powieści wieczorami palili opium w długich fajkach śniąc i tęskniąc za ojczyzną. Jangcy. Huang-ho. Ho ho! Chińczycy, którzy w dawnych czasach pracowali tam, między palmami na budowach linii kolejowych, mostów i dróg. Aha! I wreszcie dokończyć ten esej dla Simone. Ten o Christopherze Marlowe. Chowając ręce w kieszeniach, wstał. Podniósł kołnierz kurtki. Tak...

Powiedział

- Witaj, Gaston!

I zaraz poprosił o kawę i lampkę *Beaujolais*. Usiadł i zapalił papierosa przeglądając w roztargnieniu pomięty *Le Monde*. No więc albo tam albo tam, tak... A Chińczycy wieczorami palili opium. I śnili o lampionach. I smokach. I szeroko rozwartych udach swoich żółtych kobietek, małych i ciepłych jak kurczątko. Jadeitowe tęsknoty ich snów, brązy cierpień, granity samotności ponadczasowo nagrobne.

- A ty co tutaj robisz sam na sam ze sobą?

Podnosi głowę i od razu się uśmiecha. Marie, przyjaciółka Jeanne w zwiewnej fiołkowej sukience. Kwiat Wschodu. Motylek, dziewczka piękna jak anioł i mądra jak Budda, wietnamski brązowooki żółto-fiołkowy motylek. A to ci dopiero!

- Witaj i siadaj Motylku, odsuwa dla niej krzeselko. Gaston, dwa razy to samo.

- No więc co tutaj robisz sam, o tej porze?

- Mam problem ale nie mam rozwiązania.

Patrzy na jej dekolt, perłowe usta w dyskretnym kolorze fiołków, delikatny fiołkowy róż na azjatyckich wystających kościach policzków i skośne zamglone brązowe oczy.

- Czas. Mówi Marie

- Co: czas? Nie rozumiem...

Gaston podaje zamówione.

- Jak leci, mała?

- Wspaniale. Dzięki Gaston.

Z radia dobiegają dźwięki arabskiej piosenki, z kuchni woń kebabu. Zapaliła papierosa, założyła nogę na nogę.

- Czas rozwiązuje wszystkie problemy. A ty masz czas?

- Nie, nie mam. To mądrość z bambusowych gajów twoich Indochin?

- Jak najbardziej. A konkretnie z bambusowych gajów mojego Wietnamu. Więc nie masz czasu. No, jeśli nie masz czasu to źle. Ale jest jeszcze inne powiedzenie. Uśmiecha się trzepocząc rzęsami: brązowooki żółto-fiołkowy motylek.

- Jakże jest to inne powiedzenie?

- Jeśli nie wiesz co robić, nie rób nic. Samo się robi. Też z Wietnamu i skuteczne jak każda mądrość z Wietnamu. Więc co teraz zrobisz?

- Poczekam aż samo się zrobi.

Jeanne czesząc przed lustrem włosy.

- I co teraz zrobisz?

Spakował skórzany plecak i postawił go na widoku, tuż przy drzwiach, ale..

- Jeszcze nie wiem.

Bo jeszcze nie wie. Zaraz idą do Huberta i Moniki którzy za kilka dni odlatują na Haiti. Hubert będzie współpracować z *Le Nouvelliste* jako korespondent.

PRZYJĘCIE

- Jako korespondent, wyobrażasz ty sobie? Haiti to zwyczajne zesłanie! Mówi z goryczą Hubert. Zemsta tego śmierzdiela, Daubry. Haiti! A dlaczego nie Ułan-Bator?

- Nie możesz się wymigać?

- Nie. Albo Haiti albo poszukam innej roboty.

- Poszukaj dobrych stron: słońce, palmy, egzotyka, czary voodoo. No i pełno pięknych a tanich kobitek.

Hubert wzrusza ramionami.

- I codzienne porwania, zabójstwa, włamania, napady. I nieskończone morze nędzy, slumsy, brud i nędza. Kochany, palmy to ja mam i u nas a kobitki? Kobitki są wszędzie. Zresztą, wystarcza mi Monika.

- A co ona na to?

- Popatrz tylko na nią.

Patrzy na nią. Monika z apatyczną, uprzejmą obojętnością słucha chudej rudej w paskudnym kapelusiku i szeleszczącej sukni z lśniącej seledynowo-czarnej tafty

- A toto kto?

Hubert mruży oczy krótkowidza.

- Stefanie, żona Victora Argant z *Le Nouvelliste*. Będzie mi szefować.

- Ona?

- Nie ona tylko jej stary, Victor. Jest gdzieś tutaj... O, ten łysy kurdupel z bródką, tam. No a co u ciebie?

- Po staremu. U Jeanne jak zawsze, u mnie też. Chyba wyskoczę na jakiś czas pozwiedzać świat i okolice.

- Dostałeś zlecenie? Szczerze gratuluję! Gratuluje z nieukrywaną zawiścią.

- Zlecenie? Coś w tym stylu.

- A dokąd konkretnie?

Wstaje, nalewa sobie wina, wraca.

- Konkretnie? Australia.

- Australia? Wrzeszczy podniecony Hubert. Australia? O ja pierdołę, Australia! Szczęściarz z ciebie! No no... Australia! Wombaty, koala, kangury, Aborygeni... A ja? Oklapł gwałtownie

- Haiti! Dlaczego nie Ułan-Bator albo Syberia?

Patrzy z nienawiścią w kieliszek.

- Australia, no no... A jak powieść?

- Jestem w pół drogi. Właściwie całość mam tu, o. Klepie się w czoło. Muszę tylko to i owo uporządkować.

- Dotrzymasz terminu?

- Postaram się.

- Stella mówi że idzie ci dobrze ale podobno wzięłeś się za bardzo skomplikowany pomysł.

- Stella przesadza. Sam piszesz to najlepiej wiesz, że jest różnica między myśleniem wydawców a myśleniem autorów.

- Wiem, wiem. No, daj ci Boże! Uchyliś rąbka?

- Och, nic rewelacyjnego... Historyjka o dwóch pisarzach. I małolacie z pluszowym misiem.

- Z misiem?

- Tak, z misiem.

- Coś dla młodzieży?

- W pewnym sensie.

- No tak, rynek młodzieżowy to teraz kopalnia złota. I gry komputerowe, mówi Hubert a po chwili dodaje szeptem Boże, jak ja ci zazdroszczę tej Australii!

Wrócili tuż przed północą i od razu poszli do łóżka. Kochali się krótko z czułą zawziętością a potem Jeanne zasnęła z dłonią pod policzkiem. Jak dziecko, pomyślał patrząc na nią w tamtej chwili a teraz patrzy w sufit po którym pełzają szare cienie topoli. Australia, myśli dobre sobie! Rogate, kudłate jaki, śpiewające mantry krępe brzydkie kobiety. Australia dobre sobie! Katmandu. Widzi i prawie czuje szarość skał, seledyn nieba, sypki i ostry jak brzytwa śnieg; muczą jaki, śpiewają brzydkie kobiety o czerwono żyłkowanych policzkach płaskich jak spodki. Warczą modlitewne młynki, nuci w myślach *Om ah hung benza guru pema siddi hung...* A do tego cholerny brak powietrza, co przy moich płucach... I nieustający ból głowy i ten wstrętny upierdliwie nieznośny zapach który wszędzie wyczuwam. DDT? Skąd, jakie DDT? Katmandu. A dlaczego nie Ulan-Bator albo Syberia? Albo tam, albo tam... Robiliśmy sobie te świńskie fotki żeby uwiecznić nasze szaleństwo i pożądanie a jej mąż był wtedy w Hondurasie i fotografował dla *New York Timesa* jak się zabijają. Więc albo tam albo tam.

Zaspana Jeanne unosi się na łokciu, zapala lampkę i patrzy na zegarek.

- Wiesz która godzina?

- Wiem.

- Co się dzieje?

- Myślę.

- O czym?

- Albo tam albo tam.

- Aha. To ja wracam spać. Jutro na całą dobę mam klienta ze Stanów. Muszę się wyspać, bo będę do niczego.

- No to śpij.

- Kocham cię.

- Ja ciebie też. Śpij.

Zasnęła z dłonią pod policzkiem. Śpi zupełnie jak dziecko, myśli patrząc na nią a potem długo patrzy w sufit po którym pełzają drapieżne cienie topoli Jest czwarta piętnaście.

SZEKSPIR DWÓJJEDYNY

Eryk leży cichutko przez jakiś kwadransik i raptem przypomniała mu się Catherine. Wstaje cichutko, zakłada szlafrok, bosy idzie do kuchni, zapala światło, zapala papierosa, zapala gaz na kuchence, nastawia w czajniku wodę na kawę, idzie do kibla, zapala światło w kiblu, podnosi klapę, rozchyła poły szlafroka, opuszcza piżamę, sika, spuszcza wodę, czochra się pod pachą, ziewa, naciąga piżamę, poprawia pasek od szlafroka, gasi w kiblu światło, idzie do kuchni, gasi gaz pod czajnikiem, wyjmuje łyżeczkę z szufladki, bierze słoiczek z kawą, zdejmuje wieczko, sypie dwie łyżeczki kawy do szklanki, zamyka wieczko słoiczka, odstawia, z cukiernicy wsypuje jedną łyżeczkę cukru do szklanki, odkłada cukiernice i łyżeczkę, bierze czajnik, nalewa wodę do szklanki na kawowy miąższość i kryształki cukru, odstawia czajnik, bierze łyżeczkę, miesza w szklance wodę z kawą i cukrem, odkłada łyżkę bez oblizywania, gasi w kuchni światło, idzie do drugiego pokoju, gdzie stoi maszyna do pisania, zapala światło, stawia szklankę z kawą i cukrem na biurku obok maszyny do pisania, odsuwa krzesło od biurka, siada. Patrząc na pustą kartkę w maszynie, myśli *Catherine*... Tak, z pewnością tego się nie można nauczyć; geny. Geny? Geny. Może jakaś jej zakurzona praprapraprababka *Pod Poitiers, jasny panie, wszystkim dawałam jednako; zaciężnym i kanonikom*. Zaciężne kurewstwo w każdym z fiołkowych oczek Catherine. Z tym się rodzą, z tym nie do pomylenia kurwim błyskiem w źrenicach, migającym jak neon nad burdelem *Wsadź mi!* Lubią to. Och, no jasne że nie wszystkie. Nie wszystkie, no jasne ale zdecydowana większość. Dlaczego? Och, dlatego że po prostu to lubią. Robię to co lubię i jeszcze mi za to płacą. Która to powiedziała? Aleksandra? Aleksandra z sutkami sterczącymi jak gumowe smoczki które właśnie ktoś wycmoktał. Zawsze głośno jęczała, kiedy. Kiedy to było? Wtedy, w burdelu Galata. Zapach Bosforu, plusk za aźurami okien, dusząca złotem woń jej nardu; drogocenne piżmo... I usta lukrowane sezamem i cynamonową chałwą; Orient. Kragła moneta słońca wschodzącego, zachodzącego nad *Ἀγία Σοφία*, Topkapi, wirujący derwisze... Patrz, że pamiętam? Albo wołanie muezzina z wież Azakapi Camii rozpościerające się z wiatrem nad Bosforem jak jedwabna bezkresna wstęga błagań. Ooo, dobrze pamiętam

الله أكبر الله أكبر
الله أكبر فوق كيد المعتدي
والله للمظلوم خير مؤيد
أنا باليقين وبالسلاح سأفتدي
بلدي ونور الحق بسطع في يدي
قولوا معي قولوا معي
الله الله أكبر
الله فوق المعتدي

Aha! I powiedziała jeszcze że nie znajdę między nimi ani jednej która robi to z biedy. Zapytaj innej dziwki jeśli mi nie wierzysz. Ależ wierzę, wierzę, Jeanne na dowód i poparcie. Wyjątki są, oczywiście. Są wyjątki bo wyjątek jest po to żeby potwierdzić że są wyjątki. Te w Namibii? W Swakopmund? No, chociażby te z *Hansa Hotel*, na przykład. Jak Tjingee na przykład którą nazywałem Mała Merry na przykład? O, mała Merry jak najbardziej na przykład, skurwiona Himba. Skurwiona? Ucywilizowana. Szkoda, ale niby czego żałować? Apartamentów z patyków i krowiego gówna? Hotel to dla niej pałac Harun-al-Rashida, latający dywan i lampa Aladyna w jednym. No tak ale *Hansa* to luksusowe miejsce pracy a ja o tym, jak nad ranem na nogach jeszcze chwiejnych od rozkładania wraca pod ten swój blaszany dach tam, do slumsów Ojezu! a w takiej Ruandzie czy Burundi? Ojezu! A Bangkok, Kalkuta? Ojezu! Oceany nędzy i

głodu ojezu! Tak a Catherine... Dobrze chociaż że stara zostawiła jej to mieszkanie, miała coś na początek no ale jej matka sama była młodziutka kiedy ją rodziła. Podobno też z piętnaście więc jaka matka taka córka więc nic dziwnego no nie? Patrzy w ciemne okno. Catherine w siedemdziesiątym ósmym w końcu wyszła dzinsowy komplet. Mieszkanie miała. Na początek. Jak on się nazywał... Taki wysoki, w dzinsach... A, nieważne. Miłośnik *Deep Purple*. Jeszcze pada? Przejdzie, zaraz przejdzie, to już popłuczyny. Miłośnik *Deep Purple*. A *Zeppelin*? I Santana z tamtym *Oye Como Va*? O, albo Hendrix? Taaa, to były czasy!

Popija herbatę spoglądając na kartkę tkwiącą w maszynie.

- Szekspir czy Marlowe? Myśli pytająco. Znajac odpowiedź, potwierdza stanowczo

- Tak, Szekspir czy Marlowe. Jazda!

CAUSE OF DEATH: MURDER

Na wizerunku znajdującym się w zbiorach Corpus Christi College w Cambridge, widzimy młodego, ładnego i nieco smutnego mężczyznę. Jest odziany w koszulę o szerokim, bajronowskim kołnierzyku i w klasycznym dla epoki, czarnym kaftanie ze złotymi wypustkami. Nie mamy wątpliwości, czy z portretu spogląda na nas poeta, natomiast mamy wątpliwości co do tego, czy ów poeta z portretu, to rzeczywiście Christopher Marlowe, bowiem poza tym jednym obrazem, innych jego konterfektów nie znamy. Znamy natomiast jego dane

Given name: Christopher;
Family name: Marlowe;
Birth date: 1564; Death date: 1 June 1593;
Nationality: English
Family relations: Father: John Marlowe; Mother: Catherine Marlowe;
Languages: English, Latin
Education: King's school, Canterbury; Corpus Christi College, Cambridge (B.A.): 1581 to 1583; Corpus Christi College, Cambridge (M.A.) to 1587;
Religion: Atheist;
Residence: Canterbury: 1564;
Cause of death: Murder

Ostatniej pozycji w tej wyliczance, "Cause of death: Murder" a więc morderstwu jako przyczynie śmierci poety, należy się przypatrzeć ze szczególną uwagą.

Marlowe napisał takie wspaniałe sztuki, jak Dido, Królowa Kartaginy, Tamerlan Wielki, Faust, Żyd z Malty, Edward II. To on, niewątpliwie jako pierwszy wprowadził do literatury elżbietańskiej biały wiersz, za co wdzięczni rodacy obdarzyli go przydomkiem Ojca angielskiego dramatu.

A zatem ów piękny, bladolicy młodzieniec w bajronowskiej koszuli, spoglądający na nas z obrazu zawieszonego w bibliotece Corpus Christi College był poetą i dramatopisarzem, lecz przede wszystkim, tajnym agentem w służbach szefa wywiadu królowej Elżbiety, sir Francisa Lorda of Walsingham oraz namiętym a czułym kochankiem jego kuzyna Thomasa, także of Walsingham. Był więc (jakbyśmy dziś powiedzieli) gejem; gejem, który z trwogi przed katowskim toporem roztropnie skrywał namiętności sodomity, napomykając o nich li tylko aluzyjnie w nielicznych utworach (Edward II, kilka sonetów), co traktowano jako elementy rustykalne a starożytne więc dopuszczalne. Zdecydowanie mniej roztropnie czynił, nie kryjąc się dostateczniej niżli należało, ze swoim ateizmem, lekceważąc książąt anglikańskiego kościoła, szydząc wszem i wobec z Boga, złorzeczając Jego Synowi rozpiętemu na krzyżach i nurzając w błocie Sacrum. Czyż nie widzimy w jego danych owego nadto śmiałego jak na owe czasy: Religion: Atheist? Widzimy.

Szyderstwami i śmiechem znieważał Pana w Londyńskich oberżach przy Drury Lane i lupanarach panabiskupowej dzielnicy Liberty of Winchester, w kompanii wesołych a chwackich kurew, zwanych od ściągającego z nich podatki, świątobliwego alfonsa Winchester Geese. Biesiadował z dziwkami przy licznych

szkalanicach wespół z aktorską bracią i pospolitymi rzezimieszkami. Bluźnił, odmawiając Bogu Najwyższemu prawa nawet do eterycznego istnienia i sprawowania władzy ulotnego Demiurga, potwierdzonych wszak w Genesis dziełem Stworzenia (Pismo Święte Starego Testamentu), męką Baranka (Pismo Święte Nowego Testamentu) i licznymi świadectwami błogosławionych, świętych i ludzi zwyczajnie pobożnych. Nic dziwnego zatem, iż 20 maja Anno Domini 1593 nareszcie ściąga na siebie Jego sprawiedliwy gniew: pochwycyony w Deptford near London przez trybunalskich pacholków odzianych w skórnie a zbrojnych w powrósł, piki i pałki, staje przed srogim obliczem lokalnej jurysdykcji pod zarzutem ateizmu, herezji, bluźnierstw i sodomii, za co grozi mu nieuchronnie miecz katowski, bo w owych czasach za takie przewiny nie miałś sprawiedliwszego ponad śmierć wyroku. Mimo oczywistych dowodów swych zbrodni i występków, oskarżony Marlowe, lat 29, zrodzony w Canterbury z szewca Jana i gospodyni domowej Katarzyny, ludzi zacnych wielce, pocziwych i bogobojnych, ten ateusz, bluźnierca i sodomita nie będzie uwięziony; zwolniono go za kaucją, pod nakazem stawiania się raz na dobę przed obliczem trybunału w Deptford near London.

30 maja 1593 roku, w tymże Deptford, w izbie na pięterku domu zajezdnego czcigodnej Eleonor Bull, wdowy, u której Marlowe mieszka od dni dziesięciu, rzekomo pijanemu i agresywnemu poecie odebrano sztylet. Miał nim paskudnie zranić jednego ze swoich trzech przyjaciół-współbiesiadników, dzielnie osuszających z pisarzem dzbany wyśmienitego Jerez lub Madeira, które *between XII and XV Centuries the city of Bordeaux belonged to England and some of the Lords and Mayors of London came from Bordeaux*. Chwilkę później, nasz poeta tym samym sztyletem otrzymuje śmiertelne pchnięcie w oczędół, deformujące nie do poznania jego piękną a natchnioną fizys barda. Miał to być akt samoobrony a mimowolnym zabójcą - imć pan Ingram Frizer, także gej, ateusz i a Confidence Man Lorda Francisa, więc i kumpel Marlowea w szpiegowskim rzemiośle lecz nade wszystko (last but not least) - jego druh serdeczny.

Wedle licznych teorii, opisana wyżej śmiercionośna bójka miała być sfingowana na polecenie właśnie Lorda Francisa a do grobu złożono ciało niejakiego Johna Penry, absolutnie zbędnego świata, purytańskiego kaznodziei, powieszzonego wyrokiem King's Bench z 29 maja 1593 roku o godzinie piątej po południu a więc dzień przed śmiercią Marlowe. Ów wielebny Penry (syn Meredith Penry z Cefn-Brith; Llangamarch, Brecknock) owdowił żonę Eleonorę i osierocił córki: Deliverance, Hope, Comfort i Sure-Hope. Zbiegiem cudownych okoliczności, nasz nieszczęsny Jasio-kaznodzieja był tylko rok starszy od Krzysia-szpiega i nie trzeba dodawać, że próżno dziś szukać miejsca pochówku nabożnego purytanina gdyż (jak piszą historycy) No one knows where He was buried. A przecież - gdzie dwa padają trupy, tam grabarz dwie mogiły kopie.

Czy Marlowe uniknął kary śmierci dlatego, że był arcyszpiegiem jednego potężnego Walsinghama i namiętym kochankiem niemniej potężnego Walsinghama drugiego? A może głównie dlatego, że jako poeta i dramatopisarz cieszył się osobistą, wyjątkowo gorącą sympatią i opieką królowej-dziewicy? Wyraz tej opiekuńczości Elżbiety Wielkiej znajdujemy w pewnym rozkazie, zdumiewającym ówczesnych i dzisiejszych prawników, w którym monarchini zakazuje komukolwiek prowadzić dochodzenie przeciw domniemanemu zabójcy

poety, sobie zostawiając wszelkie w tej materii uprawnienia! Zatem, jeśli założyć, iż Marlowe nie zabito w owej pijackiej burdzie, to wówczas jest oczywiste, że nasi trzej przyjaciele-birbanci, Ingram Frizer, Robert Poley i Nicholas Skweres, którzy zawitali do Deptford już o świtaniu i dzień cały przepędzili z poetą na wałęsaniu się po okolicznych chaszcach, nie przybyli do zatraconej wiochy po duszę przyjaciela (która i tak uleciałaby z werdyktem trybunału) lecz po to, by ukryć w krzakach łódź. Ukryć lub wskazać poecie miejsce cumowania łodzi, którą Marlowe (Tamizą lub rzeką Ravensbourne wpadającą do Tamizy w Deptford) ucieka na czekający na pełnym morzu statek. Gdy Marlowe znika na horyzoncie, trupa wielbego Penrygo przeniesiono do owej komnaty na pięterku domu zajezdnego czcigodnej Eleonor Bull, zmasakrowano twarz nożem i ułożono na puchowych, zbryzganych posoką piernatach. Wówczas, wstępując na pokład i wywijając beretem z czaplim piórem, nasz chwacki junak woniejąc trunkiem przedstawia się kapitanowi i załodze jako Monsieur Chevalier Le Doux, prawy obywatel i syn słodkiej Francji, wielce szlachetny poddany króla Henryka IV. Idźmy dalej!

Tak, idźmy dalej! Ów Monsieur Le Doux (a według niektórych - LeDoux) zatrzymuje się na krótko w ojczyźnie szampana, pożeraczy ślimaków i żabich udek a później osiedla na stałe w Italii, szpiegując do końca swych dni na rzecz brytyjskiej Korony, na co istnieć mają dowody w postaci odręcznych listów Marlowe pisanych z Italii a datowanych po jego rzekomej śmierci w Deptford.

Czytane ongi przez licznych świadków w tym, między innymi, przez amerykańskiego historyka, pisarza i dyplomatę Washington Irvinga, dziś mają być zatrząsnięte na głucho w rządowych brytyjskich archiwach. Ale znana jest fotokopia przynajmniej jednego z nich, obecnie znajdującego się w posiadaniu rodziny da Lucchini z Padwy. I w tym przypadku nie ma pewności, czy fotokopia została wykonana z oryginalnego listu czy jest tylko umiejętnie skompilowanym na komputerze, epistolograficznym fałszerstwem. W sprawie pod kryptonimem Marlowe, wszystko jest niepewne, podejrzane, dziwne, wątpliwe, niejasne i niemożliwie możliwe. I nieprawdopodobnie prawdopodobne.

Padwa, 02 lutego 1594 roku.

*Jego Lordowska Mość
Sir Francis Lord of Walsingham*

(...) A wybrałem go, ponieważ aktor ów, lubujący się w dźwięku złota i rozkoszach łoża (nie tylko z białogłowami), będąc przytem natenczas w dość mizernym u ludzi poważaniu i nie najlepszej kondycji finansowej, mając z tego na widoku rychłe splendory i sławę a opłacony przeze mnie sowicie, zgodę na mój podstęp wyraził z ochotą, rzecz całą w tajemnicy wielkiej zobowiązując się utrzymać pod groźbą nagłej śmierci, w co łajdak znający mnie od lat ani wątpi.

Mając zatem serce i głowę tak zabezpieczone od trosk poetom właściwym, będę jeszcze sumienniej wywiązywać się z obowiązków moich w służbach dla Waszej Lordowskiej Mości przeto, przez pamięć na liczne zasługi moje błagam, by Wasza Lordowska Mość raczyła przychylić się do tej mojej prośby pokornej albowiem, jak tuszę, bardzo to być może dla Anglii z pożytkiem.

Niechaj Bóg błogosławi Waszej Lordowskiej Mości!
Wierny sługa,

Christopher Marlowe

Czy jest możliwe, że Marlowe przez cały czas od swojej sfingowanej śmierci tworzył? I jako twórca, świadom własnego geniuszu cierpiał potępiénce męki iż płody jego umysłu pozostaną nieznane? Możliwe. Czy mógł wystawiać tam, gdzie żył i mieszkał, czyli we Włoszech? Oczywiście, mógł wystawiać pod nazwiskiem jakiegoś signora Pierdulio, przystającym bardziej do wypomadowanego fircyka dmuchającego w kornet, ale zważmy - któremu artyście nie zależy na podziwie najprzód we własnej ojczyźnie? I czyż nie-włoskie pióro i nie-włoski duch utworów nie zdradziłyby prawdziwej tożsamości arcyszpiega, narażając i jego samego i siatkę wywiadowczą a tym samym interes Korony na zagrożenie dekonspiracją? Wielce prawdopodobne.

Rzeczywisty kres życia naszego pisarza dramów miał nastąpić w Padwie, w roku 1627, lecz nim nastąpił, Marlowe uchodzący za Jamesa Bonda elżbietańskiego MI-5 znajduje sposób arcywspaniały na rozwiązanie swoich artystycznych demonów. Oto do kufrów dyplomatycznej poczty, którą przesyła sir Francisowi tajne owoce szpiegostwa, wkłada pakiety zawierające manuskrypty własnych sztuk, które *confidence's* Lorda przekazują człowiekowi z teatru *The Globe*. Trzeba od razu dodać - człowiekowi chciwemu i bez skrupułów, częstokroć zasilającego będących w potrzebie aktorów, pożyczkami niewysokimi, ale za to na bardzo wysoki lichwiarski procencik, o czym w całym Londynie głośno. Prototyp Shylocka z Kupca Weneckiego? I jak najbardziej! Jest zatem więcej niż oczywiste, że poza sztukami Marlowea, każda przesyłka zawierała rulon szczerego złota dla tego lichwiarza wraz z poleceniem nadawcy, by otrzymane dzieła wystawiał na deskach *The Globe* ale nie pod nazwiskiem Marlowea tylko własnym. Albowiem tajemnica pewnej śmierci miała na wieki pozostać pewną tajemnicą.

Był więc rok 1594, gdy na deski teatru *The Globe* wchodzi *Titus Andronicus*, sygnowany imieniem Williama Szekspira, członka trupy aktorskiej *The Globe* i tegoż teatru akcjonariusza. Zdumiewające! Oto bowiem po tej godnej zapamiętania dacie 1594 objawia się istna lawina arcydzieł, dotycząca włoskich tematów: *Romeo i Julia*, *Juliusz Cezar*, *Troilus i Kresyda*, *Otello*, *Koriolan*, *Kupiec Wenecki* i szereg innych. A tymczasem jak wszem wiadomo, ciżma Williama, syna rękawicznika ze Stratford nad Avonem nigdy nie stanęła w ojczyźnie Mesaliny, Cezara i wyśmienitego Chianti. Skąd zatem u niego ta nagła, wulkaniczna erupcja znajomości włoskich historycznych i współczesnych postaci, imion, miejsc i wydarzeń? Skąd w temacie Italia ta nagła płodność literackiego buhaja u nędznie wykształconego aktora? Szekspir bowiem ukończył tylko stratfordzką podstawówkę, natomiast Marlowe był licencjatem i magistrem uniwersytetu w Cambridge (podobnie, jak wspomniany kaznodzieja, John Penry!), biegle znał kilka języków a jako szpieg przemierzył całą Europę. Szekspir nigdy nie był poza granicami Anglii (bo nie wiadomo aby był), więc skąd ta porażająca znajomość i wiedza o obcych, a opisywanych w dramatach krainach u człowieka znającego jedynie Stratford i Londyn z przyległościami? Z jakich to powodów w twórczości

Szekspira w ogóle zaistniał cykl italski i dlaczego właśnie po 1593 a nie wcześniej, powiedzmy, w roku 1590? Dalej - epitafium Williama znajdujące się w kościele w Stratford przedstawia Szekspira z uniesioną prawą dłonią dzierżącą gęsie pióro, a jego lewa dłoń trzyma pergamin. Jest dowiedzione, iż w pierwotnej postaci obie dłonie spoczywały na worku ze zbożem. Wreszcie - testament kupca zbożowego Williama, urodzonego Szekspir, pozostawia jego spadkobiercom ogromny majątek, który przeszacowany dziś wyniósłby blisko milion funtów. Gotowizna, ziemia, domy, składy a nawet małżeńskie łóże, które zapisał żonie, niekochanej Annie, urodzonej Hathaway a które pono było nie najpierwsze; więc pozostawił wiele. Jednak zdumienie budzi fakt, że pośród owych znakomitych legatów geniusza światowej literatury, na próżno szukać choć jednego rękopisu spośród mnogości podobno napisanych arcydzieł a dodatkowo, testament nie wymienia w ogóle jakiegokolwiek książki.

Powtórzę, bo warto i trzeba powtórzyć: był rok 1594, gdy na deskach teatru The Globe wystawiono Titusa Andronicusa, sygnowanego imieniem Williama Szekspira, członka trupy aktorskiej i tegoż teatru akcjonariusza. I dopiero po tej dacie, po roku 1594 objawia się niczym deus ex machina, potok literackich arcydzieł dotyczący italskich tematów: Romeo i Julia, Juliusz Cezar, Troilus i Kresyda, Otello, Koriolan, Kupiec Wenecki i wiele, wiele innych. Tym samym nasz zacny lichwiarz, aktor i rymopis z zapyziałego miasteczka przechodzi do historii literatury światowej, jako William urodzony Shakespeare, Łabędź znad Avonu; najwybitniejszy dramatopisarz w dziejach ludzkości, stawiający napis Gentleman przed a Esquire po nazwisku. Albowiem tajemnica pewnej śmierci, miała pozostać pewną tajemnicą. Jeśli cała ta historia jest wyłącznie intelektualną grą, gigantyczną prowokacją i bezczelną hucpą żerującą na taniej sensacji, chciałbym zobaczyć jeden bezsporny dowód na to, że Christopher Marlowe nie napisał Szekspira. Albo znacznie prościej: pokażcie mi jeden jedyny bezsporny dowód na to, że William Szekspir napisał cokolwiek. Bo czyż możliwe jest inne logiczne wytłumaczenie poza tym, iż to Marlowe był prawdziwym Szekspirem a nie Szekspir? Tak, jest; aczkolwiek i ono niepewne. Otóż jest wysoce prawdopodobne, że William Szekspir i Christopher Marlowe to jedna i ta sama osoba, występująca równolegle i równocześnie pod dwiema różnymi postaciami i dwoma różnymi nazwiskami, w dwu dziejących się równocześnie i równolegle, alternatywnych światach. Bowiem, jak powiada Heidegger w swoim Sein und Zeit:

Czas nie jest obecny ani w podmiocie, ani też w przedmiocie; nie jest też wewnątrz bytu ani na jego zewnątrz; jest on wcześniej od wszelkiej subiektywności oraz obiektywności, albowiem stanowi warunek możliwości nawet dla owego wcześniej.

No dobrze, ale cóż począć z faktami, że Szekspir i Marlowe żyli i tworzyli w tym samym czasie? Wszak dowody na to, że znali się i konkurowali ze sobą nie podlegają wątpliwościom. A zatem? A zatem wyjaśnienie tkwi w efektach związanych z zaburzeniami zakrzywionej czasoprzestrzeni modeli kosmologicznych i czarnymi dziurami, właściwościach superstrun, tunelami czasoprzestrzennymi a także w zakrzywionych promieniach światła i innych zjawiskach, o których Szczególna Teoria Względności Einsteina mówi, że jeśli dwaj obserwatorzy znajdują się w dwóch różnych układach odniesienia, pomiędzy którymi istnieje ścieżka czasowa i obserwują oni dwa różne zdarzenia (A i B), pomiędzy którymi istnieje tylko ścieżka przestrzenna to wówczas (stosując zasady

STW) można dowieść, że dla obu obserwatorów zdarzenia A i B mogą następować w różnej kolejności czasowej. Pierwszy Obserwator może widzieć zdarzenie A jako pierwsze, zaś Obserwator Drugi może widzieć jako pierwsze zdarzenie B. Wynika stąd, że pojęcie równoczesności jest względne, bo choć dwa zdarzenia są równoczesne dla jednego obserwatora, to wcale nie muszą być takie dla drugiego obserwatora. Bo nie wiadomo, aby było inaczej.

HOLOMETABOLIA

Kiedy podjął decyzję zadzwonił, powiedział co i jak a dwa dni później w atelier fotograficznym *Tour Martelli* od statecznego, pulchnego pana Mauligaine jak zwykle stojącego za szerokim jak działobitnia kontuarem, jak zwykle odebrał niezapisaną kopertę, zawierającą kluczyk do skrytki dworcowej numer 1904.

Wsiada do taksówki

- Dokąd teraz?

- Na dworzec de l'Est.

Kluczykiem otworzył skrytkę i wyjął niewielką parcianą torbę podróżną w kolorze khaki. Z torby wydostał australijski paszport ze swoim zdjęciem, starannie opatrzonego wiza wjazdową do République Française wystawionym na nazwisko niejakiego Vincenta Choul, wydawcy, zamieszkałego 1502 Main South Road, Darlington, South Australia w tym starym domu na wzgórzu z widokiem na wysoką samotną zakurzoną palmę i ruchliwą szosę. Sprawdził bilet na samolot *Air India* z Paryża do New Delhi i drugi bilet na *Royal Nepal Airlines* trasa Delhi-Katmandu. Przejrzał nowe karty kredytowe, ubrania i bieliznę z cienkiej bawełny, starannie ułożone w kostkę; zlustrował działanie *Nikona* wiedząc o zmyślnie ukrytym wewnątrz *Minoxie EC* a bez zainteresowania spakował przewodnik o tanim tytule *Tanio Po Krajach Azji* i zamknął torbę.

Paszport na nazwisko Eryka Vincent zamieszkałego w Paryżu przy ulicy Rocher 28/A, prawo jazdy i karty kredytowe a także wiśniowy portfel z doskonale garbowanej strusiej skóry z tłoczonym na złoto monogramem *EV*, klucze od swojego mieszkania i mieszkania Jeanne przy ulicy Saint-Denis 98 wreszcie elegancki popielaty prochowiec chowa do plecaka, plecak do skrytki, skrytkę zamyka a parcianą torbę zarzuca na ramię. Kluczyk od skrytki pakuje w kopertę, adresuje i wkłada do skrzynki pocztowej. Do odlotu ma kilka godzin, ocean czasu!

Wychodzi przed dworzec de l'Est, wsiada do taksówki

- Dokąd?

- Na Roissy.

Tak więc 16 czerwca pisarz, Vincent Choul wchodzi do budynku portu lotniczego Roissy, mijając w drzwiach innego pisarza, właśnie powracającego z Indii i pogwizdującego *La la lalala, lala lalala, la lala* Krzysztofa Komedy z *Rosemarys Baby*, tego słynnego horroru wielkiego Romana Polańskiego. **ENTRÉE →**

DANTE GONÇALVES

(2007/2012)

Z genezą tego tekstu mam nielichy problem, bowiem nijak nie mogę sobie przypomnieć, co było pierwszym impulsem, detonatorem koncepcji, kamykiem wywołującym lawinę acz dopuszczam myśl, iż mogło nim być wspomnienie cierpkiego oddechu pszenicznej piętnastolatki ściągającej dla mnie majtki i żądającej ekshibicjonistycznego rewanzu na wydmach pośród nadmorskich sosen, pewnego upalnego dnia w lipcu 1968 roku w Górkach Wschodnich. Tę myśl dopuszczam jako wiarygodną i zasadną albowiem jak napisał Nabokov o Lewisie Carrollu

"I always call him Lewis Carroll Carroll, because he was the first Humbert Humbert. Have you seen those photographs of him with little girls? He would make arrangements with aunts and mothers to take the children out. He was never caught, except by one girl who wrote about him when she was much older."

V. V. Nabokov; Vogue; Interview 1966

Prawdopodobnie, kolejną ale równie niepewną inspirację odnalazłem we fragmencie biblijnej przypowieści

„Samson odszedł, schwycił trzysta lisów, a wzięwszy pochodnie przywiązał ogon do ogona, a pośrodku między dwoma ogonami poprzyczepiał po jednej pochodni."

Księga Sędziów 15:1-8

Dlaczego ten fragment? Nie mam pojęcia, natomiast dalsza część tej przypowieści wyjaśniająca postępowanie Samsona względem Filistynów była absolutnie pewnym powodem do napisania „Torebki Od Prady”.

„Dante Gonçalves” jest także niewątpliwym dzieckiem słuchania *I Dovregubbens hall, II akt, Alla marcia e molto moderato* „Peer Gynt” Edwarda Griega, co zaskutkowało wspomnieniem muzyki Griega do filmu *Lolita* w reżyserii Adriana Lyne według powieści Vladimira Nabokova pod takimż tytułem i wspomnieniami nieśmiertelnych mitów o *Żydzie Wiecznym Tulaczu* i *Latającym Holendrze* oraz ma się rozumieć - z lektury *La Divina Commedia* signora Alighieri.

Wielką pomocą były mi obrazy Balthasara Kłossowskiego de Rola znanego jako Balthus, fotografie nagich nastolatek wykonane osobiście przez Lewisa Carrolla, wywiad dla *Vogue*, jakiego V. V. Nabokov udzielił w 1966 roku a propos autora *Alicji w krainie czarów*, biletu na samolot linii *Air India* z Paryża do New Delhi i drugiego biletu na samolot linii *Royal Nepal Airlines* trasa Delhi-Kathmandu; rozważania nad historycznym okrzykiem Archimedesza *Μη μου τοὺς κυκλοὺς ταραττε!* na kilka chwil przed śmiercią analiza dwu powieści Alberta Camusa *Dżuma* i *Obcy*, podniecające fotografie pewnej wyuzdanej dojrzałej dziewczuchy cudownie udającej nimfetkę wedle upozowań niejakiego Durante; opisane wcześniej wysłuchiwanie szczerych do bólu wyznań długonogiej i pozbawionej biustu schizofreniczki imieniem Kaia; kolor pewnej etykiety od wina, dole i niedole bardzo nieletniej matki imieniem Katarzyna zamieszkałej pomiędzy dwoma kościołami w znanym starożytnym mieście i donośnym biciu obu dzwonów tych dwu kościołów; historii OAS, zachwycająco zdumiewających zachowań kameleonów, sumiennego przeliczenia węzłków przypadających na jeden decymetr kwadratowy w

afgańskim dywanie (450); pornograficznych wyznań zaprzyjaźnionego ze mną byłego francuskiego księdza, dźwięku wydawanego przez żelazne łóżko w łososiowym pokoju małego hoteliku w pobliżu Bergerac (Francja); szelestu koronkowego gorsetu (wybranego i zakupionego na podstawie Paris Fashion Week) i widoku małych piersi (miseczka A francuski rozmiar 60), jadeitowych oczu Kobiety-Cywety i jej obleczonych w kabaretki długich a chwytnych nóg ze złotym łańcuszkiem na kostce, penetracji ekskluzywnego sex-shopu z sumiennym wykazem cen utensyliów w tym czarnych, potężnych lateksowych wibratorów; zapachu tropikalnej burzy, sposobu parzenia Rooibos (listków południowoafrykańskiego krzewu *Aspalathus linearis*), pewnych nad wyraz intymnych zaszłości w Anzio z Tajską hermafrodytą (Ladyboy) oraz przemiałą czarną prostytutką imieniem Tjingee z Hansa-Hotel (Namibia); zapachu sproszkowanego kardamonu i umiejętności odróżnienia go od sproszkowanego cynamonu a także znajomości cytatu *Chwała Tobie Wielki Boże, Panie Obu Prawd! Przybyłam Do Ciebie, Aby Oglądać Bogów, Aby Oglądać Piękność Twoją!* pochodzącego z *Księgi Umarłych* egipskiego Kapłana-Pisarza Neferhotep oraz pytania, jakie zadała mi w cudowna paryska prostytutka imieniem Jeanne

- Wiesz która godzina?

Była 4:15 nad ranem.

Sławomir Majewski